

Perzyński Włodzimierz

NOCNA ZABAWA

NOCNA ZABAWA.

Po teatrze w kawiarni pełno było osób i z trudem udało im się znaleźć wolny stolik. Łoński był małowówny. Utrzymawał, że go sztuka zdenerwowała swoją głupotą. Podle, sentymentalne sztuczdyło. Wylał trochę wody ze szklanki na marmurowy blat stolika i rozprowadzał ją palcem w różnych kierunkach, rysując jakąś fantastyczną gwiazdę. Nagle, szybko się wyprostował. Po chwili zapalił papierosa i rzekł niedbale:

— Zośka przyszła.

Starski ciekawie spojrział.

— Gdzie?

— A, z tym grubym facetem. Widzisz?... Nie mogę miejsca znaleźć.

Uśmiechnął się pod wąsem.

— Kto to jest? — pytał Starski.

— On... on jest... niewiem doprawdy, reprezentantem jakiejś firmy, czy może komiwojażerem. Ale to najciekawsze, że się chce podobno z Zośką ożenić... także waryat.

Wzruszył pogardliwie ramionami.

Starski nic nie odpowiedział. Przenikliwie przyglądał się swemu przyjacielowi.

Tamten to spostrzegł i znowu się roześmiał.

— Dramat układasz przyjacielu... Nie zapieraj się... Czytam najwyraźniej twe myśli. Przypadkowe spotkanie w kawiarni.... Ona... Cóż więcej? Bohater śmieje się, żeby nie płakać... We-

dług programu wreszcie powinienbym się teraz napić absyntu... Byłby nastrój... Z tego wszystkiego jedno jest rozumne, żeby się czegoś napić, ale nie absyntu, bo to świństwo... Co będziemy pili?

— Wszystko mi jedno — mruknął obojętnie Starski — możemy się napić koniaku. Jednak oczu z Łońskiego nie spuszczał.

I przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Łoński obojętnie wytrzymał spojrzenie przyjaciela, lecz w duszy był już na niego strasznie zły. I z trudem, siląc się na spokój, mówił:

— Wam się uroiło, że ja ją kochałem, że ja ją nawet jeszcze Kocham. Dobrze. Zastanówmy się rozsądnie. Gdybym ją był kochał, po jakiego dyabła miałbym się tego zapierać. Ostatecznie każdy człowiek przecież kocha i to jest zupełnie naturalne... Ale zrozum, że ja osobiście kochać nie potrafię... Nie mam tego w usposobieniu... Mogę się zmysłowo na pewien czas przywiązać do kobiety, ale po miesiącu czy dwóch mam dość i żadna siła ludzka nie zmusi mnie, aby o niej myśleć. Jest mi tak obojętna, jak nie wiem co, no, jak, ten stolik przy którym siedzimy. Nawet i to nie, bo gdyby się ten stolik, przypuśćmy, nagle złamał, toby nam się koniak wylał, więc ten stolik obchodzi mnie więcej, niż wszystkie kobiety razem wzięte, które w swoim życiu znałem.

Był już po kilku kieliszkach; trochę podniecony, nerwowo zapalił papierosa i mówił dalej prędkim głosem:

— To wszystko nie tyczy się zresztą przyszłości. Być może, że za miesiąc, czy za dwa, za

tydzień, czy jutro, poznam taką kobietę, w której zakocham się szalenie, na śmierć i życie, dla której potrafię sobie w łeb palnąć... To możliwe, ale do dziś dnia takiej nie znałem... Zośka... Zośka... Wiesz przecie jaki był mój stosunek z Zośką... poprostu miałem ją na utrzymaniu!...

Umilkł zmęczony, oczy mu przygasały. Wydał pogardliwie usta i tak siedział przez kilka minut.

Potem westchnął.

— Co za piekielne nudy...

I zaczął się skarżyć prawie dzieciennym głosem:

— Ty pojęcia nie masz, jak ja się szalenie nudzę. Poprostu nie wiem całymi dniami, co ze sobą zrobić. Możebyśmy poszli gdzie jakiej muzyki posłuchać.

Poszli.

Oko godziny trzeciej nad ranem Łoński śmiał się tak serdecznie, jak nigdy w życiu. Kilku Włochów, pokratkowanych na biało i czerwono, grało na mandolinach jakiegoś skoczego marsza. Na dworze już dzień się robił i czasami, gdy dźwięki muzyki cichły, z poza otwartych okien dolatywał świergot wróbli. Na Łońskiego wywierało to dziwne wrażenie. Ile razy usłyszał świergotanie ptaków, zdawało mu się, że przed chwilą myślał o czymś innym i że właściwie powinien jeszcze o tem myśleć i mrużył oczy, jakgdyby chcąc sobie przypomnieć, co to było.

Ale wnet jakaś rzecz na nowo go rozśmieszała. I śmiał się na całe gardło, aż się goście od innych stolików oglądali na niego. Wołał muzykantów, ścisnął się z nimi i częstował ich winem. I wciąż rozmawiał z przyjacielem:

— Taką masę wypiliśmy przecież, a ja wcale nie jestem pijany. Słowo honoru ci daję... Nawet w głowie mi się nie kręci. O czym myśmy mówili?... Aha, o Zośce...

Otóż wam wszystkim uroiło się, że ja ją kocham... Podobala mi się, to prawda, ale odkąd rozeszliśmy się wcale o niej nie myślę... Może sobie żyć, czy umrzeć wszystko mi jedno. I ostatecznie nie ona zerwała ze mną, tylko ja z nią — masz najlepszy dowód. Widziałem, że jej się tamten facet podoba, a mnie, właściwie mówiąc, już zaczynała grubo nudzić. Cieszyłem się nawet, że tak łatwo udało mi się z tej historii wyplatać... Tamten ją sobie Wziął i ja pozbyłem się kłopotu. Uścisnąłbym go za to w tej chwili. Zresztą, mój drogi, czy to warto tak długo o tem gadać... Pal ją dyabli!

Włosi grali na mandolinach jakąś namiętą miłosną piosnkę. Łoński znał ją dobrze. — Kiedyś — była to jego ulubiona melodia.

— Jestem skończony neurastenik — mówił. — Tak mnie ta muzyka denerwuje, że mi się płakać chce... słowo daję mam łzy w oczach... To wszystko nerwy... Ale, Wracając do Zośki, skorośmy raz zaczęli o niej mówić... Wam się koniecznie zdaje, że ja ją kocham. A ja cię zapewniam i mogę ci dać najświętsze słowo honoru, że gdyby ona chciała naprzykład teraz do ranie wrócić, to jabym się nie zgodził... nie... Umilkł.

— Nie, nie zgodziłbym się — dodał po chwili i zaciął usta z wyrazem strasznej nienawiści.

— Kocha tamtego, niech go sobie kocha... Powiedziałem jej, że jestem cywilizowanym czło-

Wiekem, — belkotał niewyraźnie, starając się zatamować czkawkę.

Dzień już był jasny i duży ruch na ulicach, kiedy powracali do domu. Łoński był strasznie zmęczony, ledwo na oczy patrzył. Ale gdy się znalazł w swoim pokoju i wyciągnął na łóżku, nie mógł usnąć.

Był przedenerwowany.

I gdy tak leżał z otwartymi oczami, majaczyło mu się, że ten reprezentant jakiejś firmy, czy komiwojażer, którego pokochała Zośka, był skończonym łotrem i wkrótce ją porzucił. Wówczas przyszła na nią nieszczęśliwa godzina. Zaczęła się staczać coraz niżej i niżej. Aż wreszcie, ale to dopiero po wielu latach, on, wracając w nocy do domu, spostrzegł w rynsztoku jakąś pijaną kobietę. Zbliża

się, nachyla, patrzy... Jezus, Marya, to Zośka!
Nieprzypadkiem przywiózł ją do siebie do mieszkania i ułożył w łóżku. Obudziła się dopiero nad samym ranem. W pierwszej chwili oczywiście nie mogła poznać gdzie jest. Ze straszonym zdziwieniem rozglądała się po pokoju. Jego nie widziała zresztą, bo stał w cieniu. Naraz oczy ich się spotkały. Jak nie krzyknie, jak nie padnie mu do nóg, nie zacznie z płaczem całować po rękach...
Długo, długo nie mógł jej uspokoić... Zanosząc się od łkań, opowiadała mu straszną swoją nędzę, wszystkie nieszczęścia, przez które przeszła, odkąd go porzuciła...
A on słuchał jej płaczu z rozkoszą. Bo wiedział już i w duszy śmiał się do tej myśli, że

kiedy ona raz jeszcze powie rozpaczliwym jękiem:

— Jaka ja mogłam być z tobą szczęśliwa — wtedy on wyciągnie ku niej ręce i na cały głos krzyknie:

— Zośka, ja ci wszystko przebaczę... Ja cię kocham tak samo, jak wtedy, Zośka!

W ARCE.

Scena przedstawia wnętrze Arki Noego — w tej części mianowicie, która służy na pomieszczenie dla patriarchy i jego rodziny. Noe i pani Noe drzemią na posianiu, a dzieci ich, Sem, Cham i Jafet przechadzają się po kajucie ze znudzonemi minami. Raz po raz któryś zbliża się do niewielkiego okienka i wygląda przez nie na morze. Widoczne jest, że wszystkim obrzydły już rozkosze tej nawigacji, która trwa nieco przydługo, bo jest właśnie trzydziesty ósmy dzień, odkąd świat skrył się pod wodą. Uwzględnwszy bardzo pierwotny stan ówczesnej techniki okrętowej, łatwo można pojąć to znudzenie. Z poza ściany, sklecone z desek, dolatuje gdakanie kur, ryk wołów, rżenie koni, trele słowików, miauczenie kotów, sapanie mastodontów, które raz poraz milknie, to znów się wzmaga, łącząc się z jednostajnym poszumem fal.

NOE (budząc się ze snu, podnosi głowę).

Sem... Sem...

SEM.

Słucham, papo..

NOE.

Wyjrzyj no tam, czy woda nie opada jeszcze.

SEM.

Nie...

CHAM.

To przeklęte deszczysko wciąż leje i leje...

Oszaleć można doprawdy.

JAFET.

To prawda, że nudy wściekle... Przed potopem nie było wesoło, ale teraz...

CHAM.

Ja już patrzeć na wodę nie mogę. Dziś rano nie myłem się wcale.

NOE.

A też znać to... Brudny jesteś, że przykro patrzeć na ciebie.

CHAM.

To niech ojciec nie patrzy.

NOE.

Mógłbyś się grzeczniej do ojca odzywać.

PANI NOE (którą odgłos sprzeczki zbudził ze snu).

Już się kłóćcie...

NOE.

Co ten Cham ma za wyrażenia jakieś... Ja nie wiem, gdzie on się tego ponauczał.

PANI NOE (wzdycha z rezygnacją).

Ach, Cham — wychodzi do sąsiedniej prze-

grody — po chwili dolatuje stamtąd płaczliwy jej głos: A jej... jej...

NOE.

Co się stało?

PANI NOE (wchodząc).

Znow jaguar zjadł kukułkę... Nie, doprawdy, ja się już nawet chwili zdrzemnąć nie mogę. Prosiłam, żebyście zwracali uwagę, czterech was drabów tu siedzi, a jak ja czego sama nie dopilnuję, to już napewno nikt się tem nie zajmie...

(wychodzi)

NOE.

To prawda. Matka cały dzień pracuje, Więc gdy chce chwilę odpocząć, to moglibyście ją wyręczyć. I tak po całych dniach nic nie robicie... Ale to się zmieni, jak tylko woda opadnie.

CHAM (uśmiecha się ironicznie pod wąsem).

NOE.

Śmiej się... śmieję, ja ci się pośmieję.

PANI NOE (wchodząc).

Najpocziwsze stworzenie to jest osieł. Jedno przynajmniej, które ma rozum.

NOE.

To też osłom zawsze będzie najlepiej na świecie (przeciąga się). A swoją drogą, chciałbym już, żeby się ta nasza podróż skończyła.

CHAM.

A te wszystko przez prababkę Ewę... Zachciało się jej rajszych jabłek.

NOE.

Cicho bądź. O przodkach powinno się mówić z uszanowaniem.

CHAM.

Rzeczywiście. Z ładnej rodziny pochodzimy. Prababka zrobiła faux-pas z wężem, dziadek Kain zamordował brata... Skandal na skandalu całe szczęście, bo inaczej człowiek byłby narażony na to, żeby go nigdzie w towarzystwie nie chciano przyjmować.

PANI NOE.

Chamie, Chamie, jak ty się nie zmienisz, to ciebie nigdy do porządnego domu nie wpuszczą.

CHAM (macha ręką).

Chwila ogólne; ciszy. Arka płynie, kołysząc się na falach.

JAFET.

Pić mi się chce.

NOE.

Mało masz wody dookoła...

JAFET.

Ja już nie mogę wody pić... jut mi się znudziło.

SEM.

I mnie...

PANI NOE.

To pojęcie ludzkie przechodzi doprawdy, co się z tymi chłopakami porobiło...

Wszystko im nie wystarczy, wszystko im złe. Stoi cała kadź doskonalej deszczówki, a oni pić nie chcą. A róbcie sobie, co chcecie, ja już mam dość kłopotu z moimi bydłatkami, żebym się wami jeszcze zajmować miała.

SEM.

Mama narzeka, a woda już się wszystkim sprzykrzyła... I ojcu także...

PANI NOE (z wyrzutem).

I tobie...

NOE.

Nie... nie... Wolałbym, żeby miała trochę inny smak, ale lubię... bardzo lubię...

SEM.

Że też to nic innego niema na świecie do picia, prócz wody.

CHAM.

A ci aniołowie, co to się pobuntowali jeszcze nim pradziadek Adam Raj kupił, to podobno pijają smołę.

JAFET.

Te strasznie pali podobno.

PANI NOE.

Pali... ma się rozumieć, że pali...

CHAM.

Oni mają gardła inne.

PANI NOE.

Ty masz mózg inny (po chwili sentencyjalnie). Zawsze, jak ktoś chce mieć za dużo, to w końcu nic niema. Ta sama historia była z Adamostwem... Nic złego nie chcę mówić, pomarli, są na sądzie Bożym, ale gdyby waszej prababce nie zachciało

się było stroić, sprawiać sobie figowych sukien, to do dziś dnia byliby siedzieli w Raju i wszystkim nam byłoby lepiej. Rozrzutność zawsze gubi ludzi.

NOE.

To prawda... majątek był śliczny, doskonale zagospodarowany i wszystko poszło na marne... Teraz człowiek musi się tłuc po świecie.

CHAM.

Głupie jest życie.

JAFET (płaczliwym głosem).

A mnie się pić chce.

NOE (wzrusza niecierpliwie ramionami).

Jak ci woda nie smakuje, to sobie wymyśl jaki inny napój, a nas nie zanudzaj narzekaniami, bo i tak to wszystko wcale nie jest wesołe.

Jafet odchodzi w kąt z obrażoną miną. Znowu chwila ogólnej ciszy. Arka płynie, kołysząc się, na falach.

NOE.

Ile to my już dni tak pływamy?

PANI NOE.

Trzydzieści osiem...

NOE.

Ładna podróż, niema co mówić... I kiedy to się skończy.

PANI NOE.

Cierpliwości.

NOE (szepcem, tak, żeby dzieci nie słyszały).

Wiesz, przyznam ci się, że umieram z pragnienia, a i ja już na Wodę patrzeć nie mogę... Nie mówię tego głośno.

PANI NOE.

Cóż ja ci poradzę?

NOE.

Wiem, że nic (trze się ręką po czole; po chwili):
mam myśl.

PANI NOE.

Cóżeś wymyślił?

NOE.

Wszak mamy ze sobą zapas winogron.

PANI NOE.

Mamy.

NOE.

Żeby tak trochę soku z nich wycisnąć... Zdaje mi się, że to mogłoby być niezłe.

PANI NOE.

Oszalałeś? Nie, słowo daję, z tej podróży, to już Wam wszystkim W głowach się poprzekrecało. Ja będę dla jego urojenia winogrona niszczyła.

NOE.

Nie... nie... już się tylko nie gniewaj, ja sobie tak powiedziałem przez żart.

PANI NOE.

Głupi żart.

NOE (po chwili).

No, bawcie się, jak możecie, a ja się trochę prześpię... Tak mi się (ziewa) oczy kleją (wstaje).

PANI NOE.

Dokądże ty idziesz?

NOE.

Do śpiżarni.

PANI NOE.

Tam będziesz spał?

Tam. Tu się chodzi, rozmawia, tam ciszej. Zbudzicie mnie o zmierzchu.

JAFET.

Ojciec ma rację. To najmądrzejsze, co można jeszcze zrobić. I ja się prześpię (kładzie się na posłaniu).

PANI NOE.

Szczęśliwi z was ludzie. Z jaką jabym się rozkoszą zdrzemnęła. Tylko, że ja nigdy się nie mam kim wyręczyć.

SEM.

Niech mama śpi.

PANI NOE.

A tam znów mi się zwierzęta pozjadają.

CHAM.

Wielka rzecz; będzie o jedno bydlę mniej na świecie.

PANI NOE (sennym głosem).

Ten szum wody tak usypia. Poleżę chwileczkę.

Kładzie się i zasypia. Niebawem wszyscy zasypiają, prócz Noego. Patryarcha, zamknąwszy się w śpiżarni, niby to dla drzemki, stał podedrzwiami i podsłuchiwał. Gdy ogólne chrapanie

przekonało go, że wszyscy pozasypiali, sięgnął po winogrona: począł z nich wytłaczać sok do tykwy. Pani Noe nie przewidziała podstępu męża. W owych czasach kobiety nie były jeszcze tak podejrzliwe, jak dzisiaj.

NOE (nalewa sobie winnego soku z tykwy do kubka i pije powoli).

Pyszne (nalewa drugi kubek, wychyla go duszkiem, potem trzeci). Znakomite...

Uf... Rozjaśniło mi się nareszcie w głowie... Napiłbym się jeszcze, ale stara robi awanturę, jak jej za dużo winogron zniszczę... (waha się przez chwilę) Eh,

co tam... pozwolę sobie jeszcze na jeden kubek, należy mi się to święcie (pije)
Biedni ludziska, co to ich poginęło przez ten przeklęty potop... ha, czemu
grzeszyli, sprawiedliwy nigdy nie zginie... (pije) U, rozjaśniło mi się w
głowie, mógłbym teraz nowe trzydzieści osiem dni tak pływać... Przecie to się
raz skończy... (pije) Teraz ziemia napewno będzie tańsza, to może się uda i Raj
odkupić... Znow będziemy obywatelami.. Powiem starej i chłopakom dobrą nowinę,
niech się ucieszą (chwiejnym krokiem, ale z wesołą miną przechodzi do ogólnej
kajuty). Cóż wy tu śpicie, jak susły, wstawajcie.

PANI NOE (przerażona).
Co się stało...

NOE.
Uważasz... sprawiedliwy nigdy nie zgi...nie.
To ja ci mówię... Odkupimy Raj...

PANI NOE.
Ty masz czkawkę.

NOE.
Sp... sprawiedliwy niema cz... czkawki.

PANI NOE.
On oszalał.

NOE.
Odkupimy Raj.

PANI NOE.
Co ty pleciesz?

NOE.
Dotychczas nie wiedziałem, a teraz wiem: A to wszystko dlatego, że się napił
soku z winogron. Pijcie chłopcy... Teraz możemy sobie do sądnego dnia pływać...
Pni, wielka rzecz... Pływać, to pływać...

PANI NOE (biegnąc ku spiżarni).
Moje winogrona... Ty opoju (zaczyna płakać). Nie, ja na chwilę oczu zmrużyć nie
mogę.

SEM.
Niech mnie mama da tego soku...

JAFET.
I mnie.

PANI NOE.
Ja wam pokażę sok... (do Noego) I nie wstyd ci taki przykład dzieciom dawać

NOE.
Sprawiedliwy nie daje złego przykładu.

CHAM.
Ładna rodzina. Prababka grzeszyła z wężem, dziadek zamordował brata, a papa
alkoholik.

NOE.
Nie krytykuj ojca, błaznie.

SEM.
Słońce!

JAFET.
Słońce!
Wśród chmur, które od pierwszego dnia potopu szarym całunem okrywały niebo,
ukazuje się krąg tarczy słonecznej. Przez niewielkie okienko wpływają do wnętrza
arki złote promienie, napędzając ją wesołą jasnością.
PANI NOE (składając ręce jak do modlitwy).
Słońce... słońce...

JAFET.
Słońce (podbiega do okna).

PANI NOE.
Może już i ziemia będzie.

NOE.
Napewno będzie... Jeszcze dzień, dwa i przyplniemy... a to wszystko, mówię ci
dlatego, że

się napił soku winnego. Odrazu rozjaśniło mi się w głowie.

PANI NOE (nawpół udobruchana nadzieją szybkiego wylądowania).
No... no, o tem porozmawiamy na lądzie.

NOE.
Raj się odkupi...

JAFET (od okna).
Gołąb pocztowy!

PANI NOE.
Nie może być, gdzie...

SEM.
Jafet ma rację i ja go widzę... Jak Boga kocham, gołąb pocztowy.

NOE.
Otwórzcie okno.
Jafet otwiera okno. Do arki wpada gołębica z gałązką oliwną w dziobie.

PANI NOE.
Ziemia, ziemia...

JAFET.
Może jeszcze dziś na noc dojedziemy.

SEM.
Teraz to już wszystko jedno kiedy.

CHAM.
Ale ja się już do końca życia nie będę mył.

PANI NOE (do męża).

No, tym razem, że się tak szczęśliwie złożyło, to ci ujdzie na sucho...

NOE.

Ja ci powiadam, że sprawiedliwy nigdy nie zginie, tylko... musi pić.

Radość maluje się na wszystkich obliczach. Wesoło kołyszac się na falach, arka płynie w blaskach słońca ku szczytom góry Ararat.

FLUID.

Pan Krzaczkowski tak był rozgorączkowany, że już nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał, oparł się rękami o marmurową powierzchnię stolika i powtarzał podniesionym głosem:

— Trzeba przede wszystkim zrozumieć, przede wszystkim trzeba zrozumieć...

Jego podniecenie zaczynało już zwracać uwagę innych gości w kawiarni. Wolski przerwał mu obojętnie:

— Siadaj pan i nie krzycz, bo się ludzie na nas oglądają.

Krzaczkowski rozejrzył się szybko po sali i, zawstydzony nieco, umilkł. Po chwili dodał tonem usprawiedliwienia i wyrzutu:

— Pan mnie zawsze musi do pasy doprowadzić.

Wolski wzruszył nieznacznie ramionami.

— Cóż ja jestem temu winien? Ja nie wierzę.

— A próbował się pan kiedy przekonać?

— Nie, bo ja i tak nie wierzę.

— Otóż właśnie.

Przez chwilę milczeli obaj. Krzaczkowski wyciągnął chustkę z kieszeni i otarł pot z czoła. W kawiarni było duszno i gorąco. Najbardziej go jednak rozgrzała ta ożywiona dyskusja, którą od godziny nieomal prowadził z Wolskim.

Wolski, jego kolega biurowy, znacznie jednak od niego młodszy, mógł najbardziej zrównoważonego człowieka zniecierpliwic. Gdy Krzaczkowski mówił, słuchał go z uwagą, z przejęciem, raz po raz potakując lekkimi skinieniami głowy. Zdawało się, że się najzupełniej na każde słowo zgadza. I naraz z nieokreślonym uśmiechem, który nie był ani ironiczny, ani wesoły, ani smutny, odzywał się przyciszonym głosem:

— Zawracanie głowy.

Krzaczkowskiego za każdym razem aż podrzucało na krześle i siłą woli musiał się powstrzymać, żeby mu nie powiedzieć impertynencji. Gdyby jeszcze Wolski był głupcem, z którym nie warto było rozmawiać... Ale nie... Krzaczkowski uważał swego kolegę za bardzo inteligentnego człowieka.

Odpczawszy chwilę, uspokoiwszy się, zaczął na nowo:

— Najznakomitsi uczeni europejscy zajmowali się spirytyzmem i fakt, że wszyscy możemy się komunikować ze światem niewidzialnych istot, jest tak samo naukowo stwierdzony, jak to, że ziemia obraca się dookoła słońca. I tylko ludzie o ciasnych głowach — nie czynię tu najmniejszej aluzji do pana — poprawił się szybko, ale wogóle tylko ludzie o ciasnych głowach mogą temu zaprzeczyć.

Krzaczkowski od paru miesięcy zajmował się spirytyzmem. Codziennie prawie urządzał w domu seanse z żoną i z kuzynką żony, starą panną, która miała wybitną siłę medyumiczną.

Żona nie podzielała jego absolutnej wiary w prawdziwość zjawisk spirytystycznych, ale musiała udawać zapał, gdyż w rodzinie pan Krzaczkowski opozycyjni nie znosił. Seanse pochłaniały go tak całkowicie, że powoli zaczął

stronić od ludzi, przekładając nad towarzystwo kolegów biurowych i znajomych stokróż coby prawda miłsze obcowanie z duchami poetów, mędrców, filozofów i znakomitych wodzów przeszłości, którzy go chętnie odwiedzali. Najczęstszymi gośćmi pana Krzaczkowskiego bywali: Napoleon, Fryderyk Wielki, pani Recamier i Mozart, i stosunki z nimi układały się coraz serdeczniej, już nieomal nawet poufale. Zrozumiałem było, że pan Krzaczkowski stał się bardziej wybrednym w wyborze znajomości wśród ludzi.

— Gdyby pan chciał choć parę najpopularniejszych broszur przeczytać — ciągnął błagalnym prawie głosem — zmieniłby pan zdanie. Przecież to, co mówię, jest logiczne?

Wolski skinął potakująco głową.

— I spirytyzm...

Ale Wolski nie dał mu dokończyć zdania. Uśmiechnął się swoim nieokreślonym uśmiechem i szepnął, zniżając głos:

— Zawracanie głowy.

Krzaczkowski pobladł i umilkł.

Wolski widział jego 'zdenerwowanie, ale dokuczał mu naumyślnie, ulegając jakiejś dziwnej potrzebie drażnienia, która go opanowała. W ten sposób wyładowywało mu się z duszy jego własne zdenerwowanie. Od dwóch dni był osa-

motniony. Pewna chórzystka, z którą utrzymywał stosunki miłosne, uciekła nagle z Warszawy, porzucając go dla zamożniejszego kochanka.

Spojrząwszy na Krzaczkowskiego uczuł jednak, że zbyt daleko posunął swe lekceważenie. Aby niemiłe wrażenie załagodzić, odezwał się po chwili pojednawczym tonem:

— Nie mogę wierzyć, ponieważ nigdy się tem nie zajmowałem.

— Więc nie ma pan prawa nie wierzyć.

— Ale nie wyobrażam sobie, żeby to było możliwe.

— Niech się pan raz przekona.

— Jak?

— Co pan porabia dziś wieczorem? — odezwał się nagle żywo Krzaczkowski.

— Nic.

— Niech pan idzie do mnie, urządzimy seans.

— Dobrze.

Wolski bez wahania przyjął zaproszenie, rad był nawet, że uda mu się wieczór czemś zapełnić, gdyż od dwóch dni, osamotniony, nudził się tak straszliwie, że mu najdziwsze myśli przychodziły do głowy.

— Przekona się pan.

— Gdy się przekonam, to uwierzę.

Zapewnienie to udobruchało nieco Krzaczkowskiego. W głębi duszy żałował trochę, że tak pośpiesznie zaprosił Wolskiego. Seanse z zasady odbywały się w najściślejszem kole wyznawców, ludzi obcych Krzaczkowski dopuszczał niechętnie i to tylko wówczas, gdy był absolutnie przeko-

nany o ich głębokiej wierze w prawdziwość zjawisk.

Ale stało się. Zaproszenia odwoływać nie mógł. Wolski tak go zdenerwował swoim uporczywym, bezmyślnym powtarzaniem jednych i tych samych słów, że stracił w końcu panowanie nad sobą...

— Uprzedzam pana, że seans może się nie udać. Będzie pan pierwszy raz, a co ważniejsza, brak panu odpowiedniej wiary. To bardzo źle oddziaływa.

— Spróbujemy.

— Niepowodzenie więc, o ileby się nie powiodło, nie może stanowić najmniejszego dowodu przeciw prawdziwości zjawisk. Niech pan to sobie zapamięta.

Było już późno. Wyszli.

— No, no, no... jaką on ma śliczną kobietę — myślał z podziwem Wolski, gdy go Krzaczkowski przedstawił w domu żonie. — Nigdybym się nie spodziewał.

Pani Krzaczkowska była wesoła, ożywiona, rozmowna i odrazu od pierwszego wejrzenia zyskała sympatię Wolskiego.

Dobrze go również do niej usposobiło to, że miała jasne włosy ze złotawym odcieniem. Chórzystka, która go zdradziecko porzuciła, była czarna, jak smoła. Zdrada napełniła Wolskiego odrazą do wszystkich kobiet o czarnych włosach.

— Pan nigdy jeszcze nie uczestniczył w seansie spirytystycznym?

— Nigdy.

— Czekają pana podniosłe wrażenia.

Ale odrazu zmieniła temat. Po paru minutach rozmawiali tak wesoło i swobodnie, jakgdyby się już znali Bóg wie odkąd.

Wolski był zachwycony.

— A to mała — myślał, spoglądając na koleżkę — ktoby był przypuścił, że ma taką rozkoszną żonę.

Z chęcią byłby z nią przez cały wieczór rozmawiał. Zaraz po kolacyi jednak Krzaczkowski przypomniał o seansie.

— Zacznie się piła — przeklął go W duchu kolega. — Nie mógłby się sam lepiej ze stolikiem po pokoju kręcić.

Przeszli do sąsiedniego pokoju i zasiedli we czworo przy niewielkim okrągłym stoliczku.

— Teraz proszę o powagę — odezwał się uroczyście Krzaczkowski i zgasił lampę. Okna były osłonięte roletami i w pokoju zapanowała nieprzenikniona ciemność.

— Nie wiem, czy się uda — odezwał się jeszcze po chwili zafrasowanym tonem Krzaczkowski. — Najodpowiedniejsze są suche księżycowe noce.

— Uda się, uda...

Wolski rozłożył palce tak szeroko, że po chwili uczył, że go kurcz chwytać poczyna. Ale sprawiało mu wzamian przyjemność, że siedział tuż, tuż przy pani Krzaczkowskiej i mógł dotykać końcem palca jej palce.

Po dziesięciu minutach zaczęło go to jednak nudzić. Chrząknął.

— Tsss — zgromił go Krzaczkowski.

I stół stał, jakby przymurowany do podłogi.

Upłynęło drugie dziesięć minut.

— Czuje pan? — odezwał się przyciszonym, uroczystym głosem gospodarz domu.

— Czuję — odparł zdziwiony.

Rzeczywiście uczył w tej samej chwili na twarzy jakby lekkie muśnięcie ciepłej kobiecej dłoni. Palcem napróżno szukał palca pani Krzaczkowskiej.

— Zaraz zacznie się ruszać — szepnął Krzaczkowski.

Ale stół ani drgnął.

Wolski nie zdziwił się zresztą.

Krzaczkowskiego jednak niepokoiło to już trochę. Do pewnego stopnia czuł się wobec kolegi odpowiedzialnym za niepowodzenie.

— Niech pan trochę głębiej posunie rękę — odezwał się półgłosem.

— Aha...

— I mocniej przyciśnięcie...

— Ale nie za mocno — zaprotestowała słabym głosem pani Krzaczkowska.

— Ja tak, jak mąż pani każe.

— Bo to najważniejsze, żeby ani zbyt słabo, ani zbyt mocno...

Krzaczkowski czuł, że seans przerywany wskazówkami, jak należy postępować, nie może się udać. Jemu samemu wreszcie ręce omdlały. Zniechęcony, westchnął.

— Dziś się nie uda... Dajmy spokój...

— Nie, nie, nie... może się jeszcze uda — przerwał mu żywo Wolski. — Posiedźmy jeszcze.

— Bynajmniej.
— Odpocznijmy chwilę, bo mnie samemu ręka ścierpła.
— Zapalimy światło?
— Po co? Przez to się tylko prąd fluidyczny rozrywa. Zaraz zaczniemy na nowo. Ale widzę, że to pana przejęło. Emocjonuje, prawda?
— Tak...
— Zobacz pan, że z pana będzie jeszcze zapalony spirytysta.
— To możliwe, to bardzo możliwe.
— Trzeba tylko trochę dobrej woli...
— Gdyby kolega pozwolił, tobym nawet stale uczestniczył w seansach.
— Ależ z miłą chęcią.
— Bo mnie to naprawdę pociąga.
— Och.. dziś... to nic jeszcze. Dopiero na następnych seansach przekona się pan, jakie to daje wrażenie.
— Przestańmy, bo ja zmęczona jestem — odezwała się Krzaczkowska.
— Szkoda...
— No, patrzcie państwo, onby całą noc przesiedział.
— Ale skoro pani zmęczona.
— To wyjątkowo dziś...
— Trzeba lampę zapalić... kto ma zapaliki?
— Służę.
— I panią oczy bolą? Ja teraz wcale patrzeć nie mogę.
— A wie kolega która godzina?

— Późno?
— Kwadrans na dwunastą... Można się zasiedzieć, co?
— Przekonał mnie pan.
— No, dziś się właściwie nie udało.
— Ale w tem coś jest, to muszę powiedzieć: w tem coś jest.
— To się czuje, prawda?
— Jeśli państwo tylko pozwolą zapisać mi się do swego grona.
— Ależ prosimy bardzo.
— Muszę uciekać jednak.
— Więc dalszy ciąg jutro. Ma pan wieczór wolny?
— Najzupełniej.
— Widzi kolega, jak to dobrze rozgadać się czasami. Zdaje mi się, że będę miał w was dzielnego pomocnika.
— O, możecie liczyć.,
— Prawda, Helu, że dobrze się stało, że ściągnąłem pana Wolskiego?
— Świetnie.
— Może jeszcze szklankę herbaty. Już do dwunastej niech kolega posiedzi. I tak zdążycie się wyspać do jutra.
Krzaczkowski był rozentuzymowany. Gdy podano w salonie herbatę, odezwał się do kolegi, ściskając go za rękę:
— A wie pan, ja wiedziałem, że pana uda mi się przekonać. Mimo, żeśmy się tak zawzięcie klócili. Mnie dziś pozory już nie myślą. Umiem czytać w duszach ludzkich. Wystarczy

mi spojrzeć na człowieka i znam nieomal, że najtajniejsze jego myśli. To każdy myślący człowiek może w sobie wyrobić. I jakem pana w biurze pierwszy raz zobaczył, zaraz pomyślałem — z niego będę miał pociechę.

DLA KRAJU.

W niedzielę po południu pani Julia pojechała do Fiume. Był pogodny, prawie wiosenny dzień.

Na niewielkim placyku, nawprost przystani, grała orkiestra wojskowa. Dookoła żołnierzy snuł się tłum ludzi wesółych, śmiejących się, rozbawionych. Młode dziewczęta, z kwiatami we włosach, spacerowały po pięć, sześć w szeregu, trzymając się pod rękę.

I we wszystkich oczach można było wyczytać zadowolenie z tego życia, które jakie jest, takie jest, ale ma swoje złote i pogodne chwile.

Pani Julia nie mogła sobie zdać sprawy z dziwnego uczucia, jakie ją ogarnęło na ten widok. Roześmiały jej się oczy do ludzkiego Wesela, ale jednocześnie czuła, że jej się na płacz zbiera...

Od samego rana była strasznie zdenerwowana.

Poczta przyniosła jej rano najświeższe warszawskie dzienniki. I znów to, co zawsze; strzały, krew, głód, nędza... Zimno się robi, jak czytać, no, a przecież pisma nie piszą wszystkiego. Co tam się dzieć musi naprawdę?

— N'a ton pas tué quelqu'un de vos connaissances? — zapytała ją przy Obiedzie sąsiadka, żona adwokata z Gracu.

— Heureusement non — odparła, wznosząc oczy ku niebu i, nieznacznie, tak, żeby Włoszka nie widziała, splunęła trzy razy.

A po obiedzie nie mogła sobie miejsca w całej Abbazyi znaleźć. I żeby się choć trochę rozerwać, czemś innem myśl zając pojechała do miasta.

Ale świąteczny nastrój, jaki tam panował rozdrażnił ją jeszcze bardziej.

Jaskrawo nasunęło jej się porównanie pomiędzy tym pogodnym obrazem, na który patrzyła a Warszawą. I przypomniało jej się pewne niedzielne popołudnie. Szła przez ulicę Marszałkowską. Jakiś obdarty człowiek zastąpił jej drogę i coś niewyraźnie mamrotał. Pani Julia cofnęła się przerażona, a obdartus zaczął się chwiać, chwiać, potem jakoś dziwnie wykreślił się w kółko na miejscu i upadł na chodnik...

Nazajutrz rano przeczytała w Kuryerze, że omdlał z głodu.

Tego wypadku o mało nie odchorowała wówczas. Bała się przytem, czy jaki "delegat" nie podpatrzył tej sceny i czy nie wyznaczą jej kary za to, że głodnemu nie pośpieszyła z pomocą. I to skłoniło ją ostatecznie do wyjazdu.

Zarząd dwóch domów powierzyła administratorowi, krewnemu nieboszczyka męża i na odjeździe pozwoliła mu nawet wynajmować "takim pannom" mieszkania, byle tylko regularnie płaciły.

Ostatecznie... podczas rewolucji...

Kilka miesięcy, spędzonych na południu, uspokoiło ją znacznie, ale zupełne moralnej równowagi nie odzyskała. Bo wciąż miała zajętą myśl tem,

co się w kraju dzieje i troska o losy ojczyzny zatruwała jej każdą jaśniejszą chwilę. Obudziła się w niej dawna społeczniczka, która z zaparciem się siebie, nieraz po deszczu i po błocie biegała na krańce Warszawy na wykłady "latającego uniwersytetu", organizowała odczyty, brała udział w przedstawieniach amatorskich "Wesela", słowem cały zasób swoich młodych sił i energii oddawała na usługi cierpiącej ludzkości. I chociaż potem, po wyjściu zamaż, nowe warunki życia nie pozwalały jej się zajmować ogólniejszymi sprawami, choć pozornie pochłonęły ją najzupełniej cześć światowe rozrywki, jednak dobry instynkt nie zamarł i obudził się z żywiołową siłą.

W głębi duszy pani Julia wstydziła się tego, że siedzi za granicą. Nieraz w myśli nazywała się burżujką, bezduszną burżujką, której cała filozofia na tem polega, aby jaknajdalej uciec od wszelkiego niebezpieczeństwa, ale wracać do kraju nie miała siły.

Ze smutnym uśmiechem odczytywała listy od znajomych z Warszawy, którzy zazdrościli jej pobytu nad południowym morzem. I nieraz, aż płakała z żalu,

czując jak nikt z bliskich nie może jej pojąć. Ci ludzie wyobrażali sobie, że ona jest jedną z najszcześniejszych istot pod słońcem.

Coraz ciężej i smutniej było jej na obczyźnie. Coraz uporczywiej prześladowała ją myśl, że grzechem jest upajać się melodią fal i czarować oczy kwieciami, które słońce rozsiewa po morzu, w chwili, gdy tam w kraju rozgrywa się wielki dramat dziejowy.

A w dodatku wkradło jej się do mózgu po-

dejrzanie, że administrator, aczkolwiek dość bliski krewny nieboszczyka męża, niezbyt uczciwie zdawał jej sprawę z rachunków.

W każdym liście donosiła, że lokatorzy nie chcą płacić komornego.

I to panią Julię bolało. Nie chodziło jej o pieniądze, lecz o zasadę. Bieda biedą a komorne zapłacić potrzeba. Inaczej ludzie zatraciliby poczucie obowiązku. Lepiej więc ograniczyć się, od ust sobie odjąć, a zachować tę pierwszą zasadę obywatelskości.

I pisywała długie listy do kuzyna, nalegając go aby dla dobra przyszłych pokoleń energiczniej ścierał zaległości.

Po napisaniu każdego listu odczuwała zadowolenie, że bądź co bądź choć w drobnej części przyczynia się do wyrobienia charakterów w kraju. "Czyń każdy w swoim kółku co każe Duch Boży, a całość sama się złoży", pocieszała się; w myśli, ale dla energicznej i żądnej czynu jej natury te okruchy działalności nie wystarczały. I, bez względu na wszystkie racje, jakie w godzinach rozterki duchowej przytaczała, aby się przed własnym sumieniem bronić, zostawał w jej duszy palący wstyd i to przeświadczenie przykre, że nie spełnia swych obowiązków względem społeczeństwa i swoim wygodnym filisterskim życiem nikomu nie przynosi pożytku.

Dźwięki orkiestry ją drażniły. Uciekła przed nimi z placu na sam koniec wysuniętej w morze kamiennej grobli, do której przybijały parowce.

Słońce już zachodziło. W oddali na Canal-Grande, całym czerwonym od blasków majaczył się biały żagiel jakiejś zapóźnionej rybackiej łodzi. Jakby ptak Rok zmęczony lotem przysiadł na falach i odpoczywał...

Orkiestra przestała grać. I coraz ciszej, coraz pieszczotliwiej szumiało morze.

Pani Julia uczuła łzę na twarzy. Szybko podniosła chusteczkę do oczu, ale łez stłumić nie mogła... płynęły coraz obficiej...

I zapłakana, jak dziecko, wróciła do Abbazyi.

Ale wróciła z mocnym postanowieniem: żeby zaraz nazajutrz rano zatelegrafować po pieniądze, spakować rzeczy i wracać do Warszawy.

W takich chwilach usuwać się nie wolno. Trzeba być na miejscu i, jeśli wszyscy cierpią, cierpieć razem, jeśli mają nadzieję — cieszyć się z niemi.

Podniecona powziętym zamiarem, długo w nocy nie mogła zasnąć. Pisała listy do znajomych, zapowiadając rychły swój powrót.

"Cudnie tu, ale ta cudna bezczynność mię zabija. Przedewszystkiem jestem członkiem społeczeństwa i w miarę sił swoich powinnam mu służyć. Więc wracam..."

Kiedy nazajutrz rano obudziła się ze snu i pomyślała, że trzeba będzie zacząć wszystkie rzeczy pakować, a potem nieskończoną liczbę godzin siedzieć w wagonie, a potem w Warszawie znów drzeć przed "delegatami", żal jej się zrobiło Abbazyi.

I postanowiła wszelkie przygo-

towania do wyjazdu odłożyć do popołudnia. Tylko listy wrzuciła od razu do skrzynki pocztowej.

Bo jechać trzeba... trzeba..

Wyszła do parku, żeby ostatni raz nacieszyć oczy widokiem błękitnej zatoki.

Znajomi witali ją wesoło, a ona odpowiadała im ze smutną uciechą. Nikt z tych

ludzi, których jedyną troską by. ła myśl o najweselszem przepędzeniu dnia, nie domyślał się nawet jej poświęcenia. I pani Julia nie próbowała nikomu go tłumaczyć. na cóż toby się zdało? Czy ten tłum niemieckich, włoskich i angielskich snobów mógł naprawdę jej społeczne intencje zrozumieć? Tylko żonie adwokata z Gracu zwierzyła się ze swego postanowienia i młoda Włoszka spojrzała na nią tak przerażonymi oczami, jakby miała już trupa przed sobą..

— Vous partez... a Varsovie? Oh, mon Dieu... Et vous ne craignez pas les pogroms?

Pani Julia uśmiechnęła się melancholijnie.

— Que faire? Vous, qui êtes compatriote de Garibaldi, vous devez me comprendre...

I Włoszka zrozumiała ją odrazu. W milczeniu — w tem, jak mówią nasze powieściopisarki "niemem milczeniu", które wymowniejsze jest od tysiąca słów, uściśnęła dłoń pani Julii i obie poszły na wybrzeże.

Był ciepły, pogodny dzień. W powietrzu pachniała woda morską. Środkiem zatoki płynął ku miastu niewielki parowiec, a za nim, jak warkocz snuła się biała wstęga dymu. W oddali chwiały się żagle rybackich łodzi, które wypłynęły na połów...

Pani Julia ściagała je rozręsknionymi oczami. Czasami któryś żagiel kładł się prawie na fale i zdawało się, że łódka się przewraca. Już... już... Dreszcz trwogi, jak prąd elektryczny, wstrząsał panią Julią.

Ale ta trwoga nie była przykra.

— Jakie tu wszystko jest inne, niż u nas — westchnęła w myśli. — Tu nawet bać się przyjemnie. Gdyby to w Warszawie można się było bać tak samo, jak tu...

— Wygląda pani, jak wieszczka fał...

— Oh — krzyknęła wystraszona, oglądając się szybko. Tuż przy niej stał Arpad Weszely, młodziutki Węgier, rozpoczynający karierę dyplomatyczną. Tak cicho podszedł, że pani Julia nie zauważyła go wcale. Cofnęła się w tył i uczuła, że ją oblewa rumieniec.

A Węgier patrzył na nią ognistym wzrokiem. Musiała mu się podobać z rozwianymi przez wiatr włosami, które opłoty jej twarz, jakby złotą przędzą pajęczą. I, widząc jej zawstydzenie, śmiał się wesoło.

Od dwóch dni znali się dopiero. Ale pani Julia zauważyła, że Węgier szuka jej towarzystwa. Był to zresztą bardzo mity i przystojny chłopiec. I bardzo, bardzo elegancki, jak prawdziwy arystokrata.

Zaproponował pani Julii i Włoszce partyę tenisa.

Obie się zgodziły i poszły.

Pani Julia kilkakrotnie gasiła światło i kilkakrotnie zapalała je znowu, zdenerwowana. Nie mogła spać..

Wciąż wracały jej na myśl słowa Weszely'ego:

"Nikt nie gra w tenisa z takim wdziękiem, jak Polki". Powiedział jej to po skończonej party. I to nie był komplement. Bo to samo mówiły jego cygańskie oczy...

Wogóle rozmowa z tym "smarkaczem", jak go pani Julia nazywała w myśli, wywarła na niej silne wrażenie. Kiedy powiedziała mu, że ma zamiar wracać do Warszawy, on z tą imponującą swobodą arystokraty, który sobie nic z tego nie robi, wziął ją za rękę (jakby był dawnym, dobrym znajomym... Co to znaczy rasa!) i zapytał:

— Dlaczego?...

I nie chciał słuchać tego, co mówiła o obowiązkach względem kraju. Roześmiał się wesoło:

— Panie właśnie powinny jeździć po świecie — zawoła i żeby nieść między obcych wdzięk swej ojczyzny.

Do późna w noc pani Julia zastanawiała się nad temi prostymi słowami.

Były głębokie i mądre.

— Jak to znać odrazu dyplomatę — myślała z podziwem. — W jednym zdaniu, w jednym komplementcie napozór, całe wskazania polityczne... Ach, ta kultura dworska. Bo rzeczywiście "smarkacz" miał rację. Musi ktoś przecież na zewnątrz kraj reprezentować i żywym słowem informować o tem, co się dzie-

je... Wprawdzie są pisma. No, ale W gazetach tyle jest błędnych wiadomości, stronicznych poglądów, trzeba je uzupełniać, wyświetlać.

Pani Julia czuła się jakby stworzoną do tej roli... I dziwiła się tylko, że wcześniej jej to do głowy nie przyszło.

Uniknęłaby tylu zmartwień.

"Nikt z takim wdziękiem nie gra w tenisa, jak Polki! Taki Weszely, magnat, arystokrata, który przez całe życie obracał się w najwykwintszych towarzystwach, byle czem nie zachwyca się przecież... A jest za wielki pan na to, ażeby komplementa prawić... Więc naprawdę ona musi grać w tenisa z wyjątkowym wdziękiem. A weszely pochwalił za to wszystkie Polki. I będzie to teraz powtarzał u dworu, wszędzie, we wszystkich częściach świata, do których go karyera dyplomatyczna powoła.

To drobnostka. Ale żeby mieć dobrą sławę w wielkich rzeczach, to trzeba ją i w drobnostkach posiadać.

Podniecenie nie pozwalało jej zasnąć. I zaczęło jej być duszno w pokoju. Wstała z łóżka i otworzyła okno.

W blaskach księżycowego światła niewielki park, który otaczał willę, wyglądał jak zaczarowany ogród. A w oddali cicho szemrało morze...

I nagle, jakby przebudzona z przykrego snu, pani Julia uczuła wielką i czystą radość w sercu. Nie, nie... nie pojedzie do Warszawy, zostanie tu, bo tu jest jej właściwe stanowisko. A że znajomi, którym listownie zapowiedziała już swój powrót,

ach i co gorsza, pisała tak szeroko o swoich obowiązkach względem kraju będą się z niej śmieli, to mniejsza o to. Ten, kto chce coś rozumnego dla kraju uczynić, musi się przygotować na szyderstwa i przykrości...

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Lato było strasznie nudne. Wszyscy ci koledzy, których Kazio najlepiej lubił, powyjeżdżali na wieś i nie miał prawie wcale towarzystwa. Z konieczności zawarł przyjaźń z dwoma uczniami gimnazjum realnego, którzy mieszkali w tej samej, co i on kamienicy, ale żyć się z nimi bliżej nie potrafił. I chociaż wciąż przestawali ze sobą i dzień w dzień spędzali razem popołudnia w Pomologicznym ogrodzie, był względem nich nich usposobiony dość niezyczliwie i w myślach nazywał ich krótko:

— Zielone małpy...

W połowie lipca zaczął już nawet tęsknić do końca wakacji. Było to zupełnie nowe dla niego uczucie i sam mu się dziwił. Ale czuł, że, kiedy się lekcje rozpoczną na nowo i kiedy się przyjaciele pojeżdżają, będzie weselej. Tego lata wogóle coś dziwnego się z nim działo. Wpadał w długie, melancholijne zamyślenia i czasami zdawało mu się, że już wkrótce musi umrzeć. Lecz było mu to prawie obojętne. Ogarnęło go zupełne zniechęcenie, wszystko mu zbrzydło, wszystko go drażniło. Stał się ponury i złośliwy. W końcu pogniwał się z realistami i został zupełnie sam.

W domu mało zwracano na niego uwagi. Ojciec całe dni spędzał w biurze, powracał wieczorem i mało go obchodziło co się naokoło

dzieje. Matka zajęta była gospodarskimi kłopotami i młodszymi dziećmi. Ale zmiana w usposobieniu Kazia stała się tak widoczna, że trudno było jej nie zauważyć.

— Ty musisz mieć coś na sumieniu — odezwał się raz podczas kolacyi ojciec, przyglądając mu się podejrzliwie.

— Nic nie mam — burknął Kazio i wzruszył ramionami.

Ojca to oburzyło.

— Jak ty odpowiadasz? Co się z tym chłopakiem stało, to doprawdy ludzkie pojęcie przechodzi.

I zwrócił się do matki:

— To od przyjaciół się ponauczał... Oczywiście, jak całe dni bez dozoru włóczy się po mieście... Ja nie mam czasu go pilnować, ale ty przecież powinnabyś trochę zwracać na niego uwagi.

Odtąd Kazio stał się powodem ciągłych niesnasek domowych. Matka kilka razy zaczynała z nim rozmowy, próbowała wydobyć zeznanie dla czego unika kolegów, dlaczego jest taki ponury, on jednak na wszystko odpowiadał opryskliwie:

— No, bo jestem.

Po pewnym czasie wszyscy przyzwyczaili się do tego i zły humor Kazia uzyskał prawo obywatelstwa w rodzinie.

* * *

A on z dnia na dzień stawał się coraz bardziej zamyślony i smutny. Przestał nawet wycho-

dzić z domu i tylko całymi godzinami przesadywał w oknie, wyglądając na podwórze.

Rodzice Kazia mieszkali w wielkiej, trzypiętrowej kamienicy na trzecim piętrze. Mieszkanie było ciasne, duszne i brudne. Matka nie mogła pojąć upodobań chłopca.

— I co ty wypatrujesz na tem podwórku — dziwiła się nieraz. Nie rozumiem, jak można tak całe godziny sterczeć przy oknie i patrzeć na jedno i to samo.

Poszedłbyś się przejść lepiej.

Kazio najczęściej nic na to nie odpowiadał.

— Siedź, kiedyś głupi — kończyła rozdrażniona jego milczeniem. — Jak żyję nie widziałam takiego dziwadła. Już ani słowa nie powiem.

I po chwili odzywała się znowu:

— I co ty tam widzisz ciekawego na tem podwórku?

Wówczas Kazio chwycił za czapkę i wybiegał na miasto.

W duszy czuł w takiej chwili do rodziców straszny żal. Wogóle był na nich rozżalony. Przychodziło mu czasami na myśl, żeby uciec z domu i do Ameryki pojechać. Obmyślał nawet plan tej podróży. Miał, kiedy wszyscy będą spali, otworzyć po cichu biurko, wykraść ojcu pieniądze i puścić się w drogę.

wyobrażał sobie, jak ojciec i matka będą pisywali do niego błagalne listy, żeby powrócił. Ale on nie odpowie nawet na żaden. Przyjedzie dopiero za kilkanaście lat, gdy będzie bardzo bogaty... I dopiero wtedy pozwoli im się przebłagać.

I do kolegów, którzy powyjeżdżali z Warszawy, czuł również żal. Przypominał sobie wszyst-

kie sprzeczki z nimi, przeżywał je każdego dnia po dziesięć razy na nowo i powoli zaczynał dawnych przyjaciół lekceważyć. Z rozkoszą myślał o tem, że gdy przyjadą i przyjdą się z nim witać, on żadnemu nie poda ręki. Odwróci się tyłem i odejdzie. Będą się chcieli z nim pogodzić, będą go prosili, zaklinali na wszystkie świętości, ale on nie zwróci na to uwagi.

— Nie chcę się z wami znać — powie krótko, zimnym, lodowatym tonem.

I przestanie się z nimi zadawać.

Nienawidził ich... tak samo, jak rodziców, jak wszystkich przechodniów, których spotykał na świecie... Nie, nie wszystkich — była jedna istota...

* * *

O tej marzył... Chodząc po mieście, wysiadując całymi dniami przy oknie, nieruchomy, zapatrzony w jeden punkt, marzył wciąż o niej. Będzie cudowna, jak królewna, będzie miała złote włosy i szafirowe oczy, będzie go kochała nad życie i wszystkie męki najstraszniejsze zniesie, żeby się z nim połączyć.

Jak w tej ślicznej powieści, którą niedawno czytał.

Pewnego dnia matka zbudzi go rano.

— Słuchaj — powie zdziwionym głosem — jakieś kwiaty dla ciebie przynieśli.

I poda mu wspaniałą bukiet róż.

— Od kogo to? — zacznie się dopytywać. On nic nie powie.

W kwiatkach będzie list... Mój najdroższy... i jakieś słodkie, niewypowiedziane słodkie, upajające, pieszczotliwe wyrazy.

Przymykał oczy, myśląc o niej... Mój najdroższy...

Później źli ludzie ich roztacza. Przejdą oboje najstraszniejsze, najkrwawsze, piekielne męczarnie, niebo i piekło przeciwko nim się sprzysięgnie, aż on wszystko pokona i odzyska ją areszcie.

I zaczną żyć razem.

* * *

Raz wieczorem Kazio wrócił do domu strasznie zdenerwowany. Kładąc się spać, roześmiał się gorzko i szepnął półgłosem:

— W życiu to się nie dzieje tak, jak w powieściach.

Potem aż do samego świtu nie mógł zasnąć

Nazajutrz wstał późno. Był błydy i zaciskał nerwowo usta, żeby się nie rozplakać. Szybko wypił śniadanie i zbiegł na podwórze.

Tam spotkał się z realistami.

Podszedł i wyciągnął ku nim na powitanie rękę.

Spojrzeni zdziwieni, bo się gniewali i nie rozmawiali ze sobą, ale on nie dał im czasu na namysły.

— Mój panie — rzekł do starszego. — Ja się teraz chcę z panami przeprosić. Czy pan nie wie ile rewolwer kosztuje?

Usta zadrżały mu nerwowo.

Obaj uczniowie spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— Rewolwer?!

— Tak. Koniecznie mi potrzebny. Muszę dziś sobie kupić.

— A na co panu?

— Hm... potrzebny mi — odpowiedział tajemniczo.

Ton jego mowy wzbudził w realistach uszanowanie. Spojrzeli i zamyślili się obaj.

— Z pięć rubli — szepnął jeden.

— E, skądże — odparł drugi — więcej... Wszyscy mówili przyciszonymi głosami.

— Wcale nie więcej...

— A skąd ty możesz wiedzieć?... Kupowałeś?

— Nie kupowałem, ale wiem. Ty także nie kupowałeś.

Zaczynali się klócić na dobre.

— Moi panowie, — przerwał im Kazio... — Nie klóćcie się w takiej chwili.

To "w takiej chwili" wywarło głębokie wrażenie. Realisci dali sobie porozumiewawczy znak oczami i umilkli.

— Ale niech nam pan opowie, co się stało — odezwał się starszy.

— Czy pan ma pojedynek? To my będziemy sekundantami.
— Nie mogę panom nic powiedzieć. Teraz
nie mogę... dowiedcie się sami niedługo...
Cały dzień przepędzili razem w jaknajlepszej przyjaźni. Kazio z początku nie
chciał za

nic w świecie wyjawić mu na co rewolwer potrzebny, ale potem, wzięwszy od
realistów uroczyste słowo honoru, przyznał im się, że chce sobie życie odebrać.
I do samego wieczora czas zeszedł im niepostrzeżenie na sprzeczkach. Nowi
przyjaciele żądali od niego, żeby im przysiągł że sobie życia nie odbierze, a on
nie chciał te przysięgi złożyć. Zaczęli sobie mówić "ty".

* * *

Starszemu realście było na imię Adolf. Wieczorem, po herbacie, spotkali się
znowu z Kaziem na podwórzu. Młodszego nie było.
— Słuchaj — rzekł Adolf — dobrze, że tamten nie przyszedł, bo ja chcę z tobą sam
na sam pomówić.
Przeszli na drugi dziedziniec, gdzie były stajnie i rosło kilka suchotnicznych
kasztanów.
Tam Adolf zaprowadził Kazia w najustronniejszy kąt.
— Ty się kochasz?
Kazio milczał posepnie.
Przyznaj się...
— Kocham.
— Ale dla kobiety nie warto odbierać sobie życia. Ja ci to mówię. Ja mam
doświadczenie w tych sprawach. Mało to facetek się nacałowałem.
Kazio drżał jak w febrze.
— Całowałeś?
— O jej...

— Ja jeszcze nigdy...
— Nigdy... No, a tę, w której się kochasz?...
— Kiedy bo...
I nagle rozplakał się głośno.
— Co ci się stało? Czego ty beczysz?
— Bo ja... ja jej nie znam... — szeptał Kazio zanosząc się coraz gwałtowniejszym
płaczem.
— Ale, uspokój się... możesz ją poznać. Czy to tak trudno?
— Kiedy ja nie wiem...
— Czego nie wiesz?
— Ja nie wiem, która to...
Realista puścił ręce Kazia i cofnął się kilka kroków w tył.
— Czyś ty oszalał? Kochasz się, a nie wiesz W kim?
Kazio płakał coraz głośniej.
— No, uspokój też się... Cały dom się zleci!
— Ja... ja... jąkał się przez łzy Kazio, — jabym ci opowiedział, ale ty się
będziesz śmiał ze mnie.
— Wcale się nie będę śmiał... słowo honoru ci daję...
— Jabym raz pragnął się zakochać.
Długo jeszcze rozmawiali, przechadzając się po dziedzińcu. Kiedy Kazio powrócił
do domu, była już prawie dwunasta i wszyscy W mieszkaniu spali.

* * *

Nazajutrz był bardziej rozdrażniony i niespokojny, niż kiedykolwiek. Przez cały dzień cho-

dził, jak w gorączce. Ale nie miał zamiaru już sobie życia odbierać. Realista był doświadczonym człowiekiem. I wytłomaczył mu, że kiedy chce się kochać kobietę, to należy jej poszukać, a nie czekać aż sama przyjdzie. Po południu poszli więc sprzedawać książki, które Kazio ukradkiem wyniósł z domu. A Wieczorem czatowali na rogu ulicy. I królowna nadeszła... Reszta wakacyi zbiegła już Kaziowi szybko,

BOMBA.

Pan Karol z pewną niechęcią odłożył pisma, w których nie było ani jednej sensacyjnej wiadomości i powoli zaczął pić kawę. W tej samej chwili do kawiarni wszedł jego kuzyn, początkujący literat Skulski. Ujrawszy zdaleka Skulskiego, pan Karol szybko pochwycił do ręki gazetę i starannie się nią osłonił, pragnąc uniknąć wymiany ukłonów. Dziwnie nie lubiał tego "literaty", jak go z przekąsem nazywał, a który według jego opinii nie tyle był literatem, ile próżniakiem i to nie początkującym bynajmniej, a dawno przez wszystkich uznanym.

Zupełnie odmiennego zdania była żona pana Karola, wielka i doświadczalna miłośniczka literatury i sztuki; to stale doprowadzało małżeństwo do sprzeczek. Gdy pan Karol zbyt złośliwie się o kuzynie wyrażał, pani Julia stawała w jego obronie.

— Czego od niego chcesz?... Zdolny chłopak, wyrabia się powoli.

— A tak, wyrabia po knajpach... Dziwię się tylko, że są redakcyę, które drukują te jego bazgroty.

— Ma talent.

— Cóż go tak bronisz?

Po tem pytaniu pani Julia zmieniała zawsze temat rozmowy.

Skulski, znając niechętnie usposobienie kuzyna, odwiedzał go zrzadka, a przy spotkaniu na ulicy poprzestawał na ceremonialnej wymianie ukłonów. Pan Karol jednak do tego stopnia był mu niechętny, że i tych ukłonów nie lubiał. Dlatego też zasłonił się gazetą.

Ale Skulski nie zwracał na to uwagi. Nieproszony podszedł, przysunął sobie krzesło, usiadł i tak się blisko pochylił, że pan Karol uczul jego oddech na twarzy.

— Czem mogę panu służyć? — zapytał, odsuwając się manifestacyjnie.

Skulskiego to nie stropiło. Jeszcze bardziej pochylił się ku panu Karolowi.

— Dobrze, że pana spotykam — zaczął tajemniczym tonem — wszak państwo mieszkają po dawnemu na Nowogrodzkiej, między Marszałkowską a Kruczą?

— No tak.

— Która jest teraz?

Skulski spojrział na zegarek.

— Dziesięć minut po piątej. Niech pan przed ósmą do domu nie wraca.

Skulski miał minę tak uroczystą i mówił tak tajemniczym półgłosem, że pan Karol mimowoli zaczął się czegoś obawiać.

— Ale dlaczego? Niech mi pan wytłomaczy...

— Będzie bomba — dodał ciszej Skulski.

I wykonał ręką w powietrzu jakiś groźny ruch, który miał uzmysławiać rzucenie bomby.

Pan Karol pobladł.

— Bomba... na Nowogrodzkiej! co pan plecie — odezwał się po chwili.

— Jakto co plotę? — zachnął się Skulski. — Wiem, że pan W tamtych stronach mieszka i uważałem za swój obowiązek przestrzedz pana. To chyba zrozumiale.

— Ależ ma się rozumieć, serdecznie panu. dziękuję — przerwał mu żywo pan Karol, wyciągając dłoń do uścisku. Ale może to plotka?

— Fakt.

— I na kogo?

Skulski wymienił nazwisko.

— I rzuca?

— Mogą rzucić, mogą nie rzucić. Ale W każdym razie przestrzegają — dodał, kładąc szczególny nacisk na ostatnim wyrazie. Gdyby kto chciał ryzykować, to oczywiście może pójść, ale, a nuż trafi na samą chwilę właśnie... Fiut!

I Skulski zakreślił ręką łuk w powietrzu.

— I to teraz?

— Między piątą, a ósmą. Może już w tej chwili, może za kwadrans, może za godzinę. Przecież bomba to nie pociąg, żeby można co do minuty oznaczyć. Pan Karol blady był, jak trup. Naraz porwał się rozpaczliwie rękami za głowę.

— Ależ moja żona może wyjść z domu.

— Prawda. Niech pan w tej chwili siada W dorożkę i jedzie. Może pan jeszcze zdąży.

— Jakto? Przecież już po piątej — wybełkotał przerażony pan Karol.

— Tak... no... — Skulski zamilkł i nerwowo zatarł ręce.

— Drogi panie, niech też mi pan poradzi, co ja mam robić? Jabym poszedł, ma się rozu-

mieć, w tej chwili - no, ale niech mnie Boże uchowaj, jakie nieszczęście spotka po drodze. Moja żona nie przeżyłaby tego. Jestem pewien, żeby nie przeżyła... I jakżeż ja mogę kobietę na śmierć narażać?

Pan Karol mówił to wszystkim już nawpół z płaczem prawie.

Skulski milczał ponuro.

— Mój drogi, poradź, ratuj! — wołał pan Karol, zapominając już o niechęci, jaką czuł do kuzyna, i przechodząc z panie na ty.

— Ja pojadę — rzekł nagle Skulski, wstając szybko od stołu.

— Nie boisz się?

— Nie... A zresztą... To jest moim obowiązkiem. Jestem młody, sam, byłoby małodusznością kryć się przed niebezpieczeństwem, skoro chodzi o uratowanie czyjegoś życia.

Skulski wypowiedział te słowa tonem bohaterskiej rezygnacji. I, wyprostowawszy się, wysunął pierś naprzód, jakby poddającą już pod strzały.

Pan Karol ze łzami w oczach rzucił mu się na szyję.

— Idź... I zostań u nas, ja wrócę wieczorem, jak się już uspokoju. A ty siedź.

Pamiętaj, że niepotrzebnie narażać ci się nie wolno.

Ucałowali się i Skulski wyszedł.

Pan Karol siedział przez kilka chwil oszołomiony, nie umiejąc sobie jeszcze zdać sprawy z tego, co zaszło. Czuł, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, może śmierci i że stało się to dzięki Skulskiemu. Wyrósł on w jego oczach na dzielnego człowieka.

Czekał i kręcił się niespokojnie na miejscu. Spoglądał na zegarek, to znów wlepiął oczy w wejściowi drzwi, spodziewając się, że lada chwila ktoś wejdzie i przyniesie wiadomość o wybuchu bomby. Ale nikt jej nie przynosił, a czas płynął nieskończenie wolno. Skinieniem ręki przywołał do stolika kelnera.

— Czy Antoni wie, że dziś mają bombę rzucić?
— Nie, gdzie? — zadziwił się kelner.
— Na Nowogrodzkiej. Przestrzegali, żeby nie chodzić między piątą a ósmą.
— I, abo to raz tak przestrzegają — mruknął stary kelner, kręcąc nieufnie głową.
Ten jego sceptycyzm udzielił się i panu Karolowi. Może Skulski blagował — pomyślał — a ja się dałem wziąć na kawał, jak głupiec. Ogarnęło go przykre rozdrażnienie i siedział niezdecydowany, nie wiedząc co dalej począć.
— W każdym razie lepiej się nie narażać — postanowił wreszcie. — Jeśli mnie nawet Skulski w błąd wprowadził — pocieszył się — to działał w dobrej wierze i postąpił, jak na porządnego człowieka przystało.
Kelner tymczasem powtórzył kilku gościom zasłyszaną nowinę i pogłoska szybko rozeszła się po kawiarni. Wreszcie, za pośrednictwem jednego ze znajomych, wróciła do pana Karola.
— Słyszał pan, bombę mają dziś rzucić...
— Aha, więc i pana przestrzegali? — zapytał żywo.
— Mnie nie, ale podobno przestrzegają, że-

by po Nowogrodzkiej nie chodzić. To w pańskich stronach.
— Właśnie. Ja się w kawiarni dowiedziałem.
Upowiedziałem żonę, żeby na krok nie ruszała się domu, a sam nie mogę wrócić.
— Oczywiście, lepiej przeczekać.
To rozproszyło już ostatecznie wszelkie wątpliwości pana Karola. Był przekonany, że Skulski mówił świętą prawdę i podziwiał w myśli dokładność jego informacji. I aż się pocił ze zdenerwowania, oczekując na wiadomość o wybuchu bomby. Pił bez przerwy czarną kawę, palił papierosa po papierosie i co chwila chorobliwie spoglądał na zegarek. W miarę, jak się zbliżała ósma, niepokój jego wzrastał. Miał już pewność Coprawda, że Skulski zdążył upowiedzieć żonę, żeby nie wychodziła z domu, ale bądź, co bądź bał się o nią. Na szczęście do stolika, przy którym siedział, przysiadło się kilku znajomych, zaczęli gadać o tem, o owem. Pan Karol wciągnął się powoli w wir rozmowy i to go uspokoiło.
Wszystkim znajomym opowiadał szczegółowo, że właśnie w tych stronach, gdzie mieszka, lada chwila mają rzucić bombę, i, że on, cudem prawie, uniknął śmierci. Dzięki temu stał się bohaterem chwili. Słuchano go z uwagą. A on tłumaczył zebrany, dlaczego król Alfons hiszpański uniknął śmierci. W końcu nabrał takiej pewnością siebie, że zaczął się już o bombach odzywać z lekceważeniem. Potem jeden ze znajomych zaproponował mu dla uspokojenia nerwów

partycję bilardu i pan Karol chętnie się na to zgodził. Zagrali jedną, drugą, to go uspokoiło rzeczywiście, a tymczasem czas krytyczny przeminął. Kiedy skończyli grę było już w pół do dziesiątej.
— Nie udało im się widocznie dzisiaj — pomyślał pan Karol i, uspokojony, wsiadł do dorożki. Odzyskał swój zwykły, pogodny humor.
— Nareszcie spojrzeliśmy sobie oko w oko z rewolucją — myślał, poświstując wesoło.
To poczucie niebezpieczeństwa, którego mu się udało tak szczęśliwie uniknąć, napępniało go dumą. I własny dom wydał mu się dzisiaj tak rozkoszny, jak nigdy, zaniepokoił go tylko zmieniony wygląd żony.
— Co ty masz takie podsiniałe oczy? — zapytał.
— Ja... zdaje ci się... — odparła żywo pani Julia i usunęła się W cień.
Ale po chwili dodała:
— A może i mam. Nie uwierzysz, jak mnie głowa bolała i nawet jeszcze boli. Muszę się zaraz położyć.
— Tak, połóż się, takie nerwowe wyczekiwanie to męczy — potwierdził ze współczuciem pan Karol. — Całe szczęście, że ta bomba nie wybuchła jednak — dodał po chwili.
Pani Julia nic na to nie odpowiedziała. Przeciągnęła się leniwie, a na wargach

jej wykwił błogi uśmiech.

— Tak, to dobrze się stało, że zamach się nie udał — powtórzył zamyślony pan Karol.

Pani Julia myślała co innego. Myślała, że zamach udał się świetnie. Ale mąż jej myśli zgadywać nie umiał, więc ta różnica zdań wyjątkowo nie wywołała sprzeczki. I oboje poszli spać zadowoleni.

PAMIĘTNIK WISIELCA.

Przez cały dzień i przez całą noc piłem po różnych knajpach, a nad ranem, wróciwszy do domu, zacząłem robić przygotowania. Ostatecznie były one bardzo proste. Należało tylko przesunąć stół na środek pokoju i ustawić na nim krzesło. Wykonałem to cicho i sprawnie.

Potem, muszę się przyznać, miałem jeden krótki moment wahania. Przez całe życie byłem człowiekiem niezdecydowanym, więc i w ostatniej chwili zabrakło mi stanowczości. Stałem na krześle ze stryczkiem, założonym na szyję i nie mogłem się odważyć na ostateczny ruch nogą, który miał mi otworzyć wrota wieczności. Aż wreszcie ten sam przypadek, który mi wszystko ułatwiał lub utrudniał w życiu, ułatwił mi i śmierć. Będąc pijanym, straciłem równowagę i... stało się!

Strasznie podle uczucie. Gdyby mi kazano poraz drugi umierać, stanowczo wybrałbym inny rodzaj śmierci. Miałem wrażenie, że mi głowa zaczyna puchnąć coraz bardziej i bardziej, tak że wkrótce było jej zaciasno w pokoju. Sprawiało mi to niedający się opisać ból. Na szczęście nie trwało długo. Ściany pokoju się rozstały i to, co tyło moją głowę, wyswobodzone z żelaznego ucisku, rozpierchło się nagle z błyskawiczną szybkością po wszechświecie.

Gdy to się stało, doznałem uczucia ulgi i straciłem przytomność. Odzyskałem ją po kilku chwilach dopiero i miałem niezmiernie dziwne,

mimo całej grozy sytuacji, nawet trochę zabawne prążenie. Było nas w pokoju dwóch, to jest właściwie byłem ja sam, ale rozdwojony na dwie postaci. Jedna, widzialna, wisiała melancholijnie pośrodku pokoju na haku od lampy, druga, niewidzialna, zajmowała nieokreślone miejsce w przestrzeni i z zaciekawieniem przypatrywała się pierwszej. Tą drugą byłem ja, właściwy, czyli pośmiertny. Za czasów doczesności nigdy podobno nie odznaczałem się zbytnią urodą, teraz, na stryczku, byłem wprost potwornie brzydki. Na szczęście już mi nic a nic na wrażeniu, jakie mogę wywierać na ludzi, nie zależało.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła godzina siódma. Potem zbliżyłem się do okna. Zachowałem jeszcze życiowe przyzwyczajenia. Codziennie rano, po wstaniu z łóżka, wyglądałem przez okno na podwórze. Rosło tam kilka drzew. Lubiałem obserwować, jak się powoli ze snu zimowego budziły do życia, jak na czarnych gałęziach ukazywały się drobne pączki, a potem rozwijały w świeże, zielone liście.

Dzień był pochmurny i dachy nie obeschły jeszcze z deszczu, który przez całą noc padał. Przypomniałem sobie, że mnie ten deszcz w nocy strasznie rozrzewnił.

Przechodziłem z jednej knajpy do drugiej: była duszna, parna noc i nagle uczułem na twarzy pierwszą ciepłą kroplę deszczu. Łzy popłynęły mi z oczu. Usiadłem na trotuarze i zacząłem głośno płakać, bełkocząc wciąż jeden i ten sam wyraz:

— Wiosna... wiosna... wiosna...

I kiedy podszedł do mnie stróż nocny, chcia-

łem go koniecznie pocałować w twarz i urywaniem głosem przez łzy namawiałem go, aby współ, nie ze mną życie sobie odebrał. Świecie jestem przekonany, że nikt

nigdy tak szczerze przed nim serca nie otwierał i nie przemawiał do niego słowami, tak pełnymi miłości. Człowiek ten powinien był mi podziękować pocałunkiem i uściskiem, ale nie zrozumiał mnie, więc mnie tylko odepchnął od siebie brutalnie i, nawymyślawszy od pijaków, zagroził mi aresztowaniem. Zatoczyłem się i, płacząc, poszedłem dalej. To nieodczucie moich najczystszych intencji napęliło mnie taką odrazą do całego rodu ludzkiego, że, pominawszy wszystkie inne względy, już ten sam, żeby nie kolegować z ludźmi na ziemi, ostatecznie przyczynił się do mego samobójstwa.

Rano, powróciwszy do domu, powiesiłem się.

... Po chwili, kiedy się już trochę otrząsałem ze swoją nową sytuacją, rozejrzałem się po pokoju. Widok był smętny. Umeblowanie mego mieszkania nie odznaczało się wytwornością, ponieważ w ostatnich czasach, kiedy zacząłem pić, zaniedbałem się i powysprzedawałem wszystkie rzeczy. Zostały mi tylko konieczne graty. To jest właściwie nie konieczne, bo potrzeb wogóle już nie miałem, tylko takie, za które nikt nie chciał nic dać. Wszystko harmonizowało ze sobą doskonale: szare światło poranku, z pokojem, który przedstawiał obraz nędzy i rozpacz, brud, nagromadzony po kątach, z trupem wisielca. Była to naprawdę nora samobójcy, zmuszonego do odebrania sobie życia w najtańszy sposób.

Nic dziwnego, że przejął mnie pewnego rodzaju wstręt do własnej osoby. Dołączyła się jednak zaraz do niego i tkliwa żalność: bądź co bądź trzeba być bardzo nieszczęśliwym, żeby tak skończyć. Ot, kołatałem się przez tyle lat po świecie, narażony na najrozmaitsze przykrości, borykałem się z losem na wszystkie strony, miałem ambicje, dążenia, pragnienia, nawet dawnymi laty dużo zapału i entuzjazmu, i wszystko skończyło się na tym, że wiszę, jak manekin, pośrodku niezapłaconego mieszkania i jutro gospodarz mnie będzie przeklinał, a wszyscy znajomi zgodzą się na to, że zrobił com mógł najlepszego zrobić, bo tylko niepotrzebnie miejsce zabierał na świecie.

I przyszło mi na myśl, że mogę tak wisieć dzień, dwa, trzy i ani pies się o mnie nie zatroszczy. Stróżka, zrażona moją niewypłacalnością, od pewnego czasu przestała mi usługiwać, więc nawet ona nie przyjdzie na górę. Znajomymi będzie wszystko jedno, czy mnie widzą, czy nie, nawet lepiej, że mnie nie widzą, bo obecność moja zawsze jeśli ich nie narażała, to przynajmniej próbowała narażać na koszt.

Na podwórzu tymczasem zaczął się już ruch na dobre. Słysząc było rozmowy, śmiechy, zamykanie i otwieranie drzwi. Nikt z całej kamienicy nie podejrzewał, że jeden z lokatorów już się przeniósł do wieczności i że ciało jego już stygnie na sznurku. I nikt się tem nie przejmie — myślałem. Jutro ci sami ludzie będą tak samo swobodnie rozmawiali i tak samo wesoło się śmieli. Nikt nie zauważy, że umarłem z ich grona.

Oczywiście całe to roztkliwienie nie miało

najmniejszego sensu. Dziś zdaję sobie jasno z tego sprawę, ale w owej chwili, w parę minut po śmierci, nie zdołałem się jeszcze otrząsnąć z sentymentalnych nałogów, którymi ludzie uprzyjemniają sobie doczesną wędrówkę po ziemi. Przytem została we mnie spora doza próżności i byłem niezmiernie ciekaw, jakie wrażenie śmierć moja wywrze na ludziach. Zbytniego żalu spodziewać się nie mogłem, bo, prawdę mówiąc, byłem tylko przeciętnym szubrawczyńcą i pijakiem... Ale każdy człowiek ma to przekonanie, że jest na coś na świecie potrzebny i że śmierć jego bądź, co bądź tworzy lukę.

Dlatego też z niecierpliwością wyczekiwałem tego momentu, w którym świat dowie się o moim zgonie. Ale musiałem długo czekać. Dopiero koło dziesiątej spostrzegłem na schodach tak dobrze mi znaną postać mego szewca. Człowiek ten, na którego duszę składały się pierwiastki uporu i nadziei, szedł upominać się o należność za jakieś tam kamasze. Ponieważ pewna wrodzona dobroć serca nie zatarła w nim wcale brutalnego obojętstwa istoty niższej sfery, więc starałem się

zazwyczaj unikać z nim rozmów, zwłaszcza w kwestiach tak drastycznych, jak należność za buty i zamykałem się przed nim starannie na klucz.
Ale co ludzi za życia martwi, to ich po śmierci cieszy.
I pierwszy raz powitałem go życzliwym okiem.
Ba, nie tylko nie kryłbym się przed nim, ale byłbym mu nawet drzwi na oścież otworzył, gdybym się nie obawiał, że go tym wystraszę. Byłem

jednak spokojny. Miałem czas wystudować jego przyzwyczajenia. Wiedziałem, że kilka razy zapuka, potem się odezwie:

— Panie Skrzycki, ja wiem, że pan jest w domu, czy to nie wstyd tak krzywdzić biednego rzemieślnika?

Później nachylił się, będzie się starał zajrzeć przez dziurkę od klucza do pokoju i...

Właśnie nie wiedziałem, co się stanie dalej. W zwykłych razach spluwał, wymawiał dobitnie wyraz "cholera" i ciężko schodził z powrotem po schodach.

Wszystko odbyło się według programu. Najpierw pukał i kołatał, później usłyszałem za drzwiami sakramentalne:

— Panie Skrzycki, czy to nie wstyd tak krzywdzić biednego rzemieślnika?

I wreszcie przytknął oko do dziurki od klucza. Wpatrywał się dość długo, nagle pobladł i gwałtownie cofnął się w tył. A później, jak opętany uciekł po schodach na dół.

KRÓLEWNA I PAŹ. (BAJKA O DYSKRECYI).

Miody paż kochał królową...

Dawnymi czasy często się to zdarzało.

Paż miał złote włosy, chabrowe oczy i układał piosnki do śpiewu, słodkie piosnki, w których słowa dzwoniły, jak harfiane struny.

Królowa wiedziała o tem, że paż ją kocha.

Często nocami wychodziła na pałacowy krużganek. Były ciemne, upalne noce...

W jednym oknie, u szczytu wysokiej wieży, paliło się światło.

Paż tam mieszkał.

— On mnie kocha — myślała królowa. Duszne powietrze nocy, przesycone wonią dojrzałych kwiatów, upajało ją, jak wino. A z okna dolatywały dźwięki lutni.

— Marzy o mnie — myślała królowa. Dźwięki zrywały się ze strun, jak motyle z kwiatów i uciekały ku gwiazdom.

— Marzy o mnie — śmiała się królowa — pieści się melodią mojego imienia i śni o tem, jaki zapach mają moje włosy i jak całują moje usta... Biedne, nieokrzesane dziecko...

Raz, w samo południe, królowa zbierała kwiaty w ogrodzie. Słońce ją zmęczyło, położyła się na trawie i usnęła.

Wtedy paż, który ją śledził z oddali, ukryty po za drzewami, zbliżył się ku niej...

Ośmielił się zbliżyć...

Zdawało mu się, że królowa śpi.

Ukląkł i modlił się do niej oczami, pełnemi zachwyty.

— O, moja święta!...

W ogrodzie było cicho. Ponad krzakami róż unosiły się roje białych motyli.

Liście na drzewach i trawy usnęły w południowym omdleniu. Fale jeziora dzwoniły cicho o nadbrzeżne skały.

Królowa uśmiechnęła się przez sen.

Paż pochylił głowę.

— W jej duszy grają melodye anielskich chórów...
Wieczorem królowa była smutna. Dziewczęta, które jej rozplatały włosy do snu, widziały, że miała łzy w oczach.
A jedna słyszała nawet, jak królowa szepnęła półgłosem:
— Biedne, nieokrzese dziecko...
Nazajutrz w południe królowa znowu przysła do ogrodu, położyła się na trawie i przymknęła oczy.
Paź ukląkł koło niej i modlił się z zachwytem.
Na trzeci dzień powtórzyło się to samo.
I na czwarty...
Królowa była coraz smutniejsza.
Aż w jedno południe, kiedy paź, klęcząc, wpatrywał się w nią, jak w objawienie święte, ona

otworzyła nagle oczy i ze śmiechem wyciągnęła ku niemu ręce.
Paź zemdlął.
Królowa zaczęła płakać, zrywała róże z krzaków i rozszarpała płatki róż w palcach.
Wieczorem rzekła do ojca:
— Ten paź, który ma złote włosy i na lutni grywa, jest strasznie nieokrzesany...
Aż wstyd, żeby taki paź służył u dworu...
— Wypędzę go — rzekł król.
— A on się gdzieindziej okrzese — pomyślała królowa.
I rzekła, przymilając się do ojca:
— Zbierałam dziś kwiaty w ogrodzie. Słońce mnie zmęczyło i usnęłam. Biały motyl usiadł na moich wargach, a mnie się śniło, że to mnie paź całuje.
Król zmarszczył czoło.
— Twoja matka nie obudziłaby się z takiego snu. Wstydby jej już oczu otworzyć nie pozwolił.
I rozkazał ściąć paziowi głowę.
Nazajutrz, skoro świt, prowadzono go na stracenie.
Szedł mężnie. Kładąc szyję pod katowski topór, myślał, że tam po drugiej stronie tej wielkiej rzeki, na której stary Charon dzierżawi swój prom, nie będzie już ani gniewnego króla, ani okrutnych dworzan.
I tam kiedyś przyleci za nim, jak gołębicą białą, rozżęskniona dusza królowy.

Z jej imieniem na ustach umarł.

* * *

Wyzwolona z powłoki cielesnej dusza złotowłosego pazia stanęła przed obliczem Zeusa.
W owych czasach Zeus sądził jeszcze, niektóre pomniejsze sprawy ziemskie.
Ujrzawszy pazia, uśmiechnął się dobrotliwie.
— Cóż to, biedaku?... głowę ci ścięli!
— Tak, władco — odparł paź pokornie. Zeus pogładził się po siwej brodzie.
— I cóż ja z tobą pocznę?... Gdybyś był cnotliwym, albo rozwiązyłem, ale ty szukałeś "czegoś więcej"... w kobiecie.
Umilkł.
— Niema co — odezwał się po chwili. Zeszedłeś na ziemię w ludzkiej postaci, a zachowywałeś się tam excusez le mot — jak zwyczajny osieł.
— Dusza pazia zachwiała się pod ciężarem słów władcy.
A on raz jeszcze powtórzył dobitnie, akcentując każdą sylabę:
— Jak zwyczajny osieł! I dlatego też powrócisz teraz na ziemię w osłej skórze.
Bo cóż jaby tu robił z tobą? Sam się zastanów!

* * *

Królewna jechała z ojcem w powozie. Wyjechali między chłopskie pola, aby nacieszyć oczy krzepiącym widokiem pracowitych kmiotków.

Drogą szedł młynarz, syn jego i osieł.

— Ojczy! — zawołała królewna — spójrz, jaki śliczny osiołek. Kup mi go, ojczy!

Król nie odmawiał żadnemu żądaniu jedynaczki.

Osieł był bardzo ładny, biały, rasowy. A nadewszystko — jak zauważyła królewna — miał przedziwnie inteligentne oczy.

— Prawda, ojczy, że to niezwykła rzecz żeby osieł miał tyle rozumu w spojrzeniu?

Król cieszył się, widząc szczerą radość córki.

I osieł się cieszył.

Wołał radośnie: "Io, io!" machając z całych sił ogonem.

Bo w zwierzęciu pokutowała za dawne grzechy dusza złotowłosego pazia. Czyż może być słodsza pokuta? Oto był około swojej świętej królewny, biegł uwiązany na sznurku za jej powozem i modlił się do niej oczyma, pełnemi zachwytu.

— Zaczyna świtać zorza szczęścia na mojem niebie — myślał.

Duszę miał pełną słodkich melodyi. Ale wyśpiewać już ich nie mógł. Więc ryczał tylko nieustannie, starając się dobierać jaknajkliwszych tonów:

— Io, io...

— Ładny osieł, ale trochę zanadto krzykliwy — zauważył król.

— Uspokoi się! — wzięła go w obronę królewna.

Był jej ulubieńcem.

Ale niedługo. Wróciwszy do domu, królew-

na posmutniała i przestała się już osłem zajmować.

I on posmutniał, umilkł i samopas błakał się po parku.

A królewna myślała o złotowłosym paziu.

— Ten osieł ma oczy trochę do niego podobne. On także miał ładne, smętne spojrzenie.

I żał się jej zrobiło lutnisty.

Żywo stanęły jej w pamięci te noce upalne i duszne od woni kwiatów, gdy wychodziła na pałacowy krużganek i słuchała dźwięków jego lutni.

Dźwięki zrywały się, jak motyle z kwiatów i ulatywały ku gwiazdom.

A teraz nikt już nie grywał.

I okno na wieży było ciemne.

Zdawało się królewnie, że wszystkie drzewa w parku posmutniały, i że ptactwo o wschodzie słońca już nie świergocze tak wesoło, jak dawniej.

— Taki był śliczny ten paż! — myślała. — Takie miał cudne oczy, usta!...

Dlaczego on mnie nie umiał naprawdę kochać?

Jednego dnia wiał wiatr. Dzień był pochmurny, szary. W nocy deszcz padał i drzewa stały we łzach.

Królewna chodziła po ogrodzie.

Wiatr rozwiewał jej włosy. A ona załamywała ręce i z płaczem wsłuchiwała się w żaloszny szum wiatru.

— To moja tęsknota tak łka.

Wieczorem szła przez ciemny pałacowy korytarz. W mroku zaświeciły nagle błyszczące oczy i purpurowe usta pazia, który miał włosy czarne, jak krucze pióra.

Królewna zarzuciła mu ręce na szyję.

— Muszę swój ból czemś zagłuszyć — jęknęła całując go namiętne w usta.

Nazajutrz wiatr rozpedził chmury i znowu złote słońce zajaśniało nad światem. O

świecie drzewa stały w dyamentowych girlandach i nigdy jeszcze ptactwo nie witało dnia tak radośnie...

W południe królowna poszła do ogrodu. W ogrodzie było cicho. Ponad krzakami róż unosiły się roje białych motyli, drzewa i kwiaty umilkły w południowym omdleniu.

Fale jeziora dzwoniły słodko o przybrzeżne skały.

Królowna położyła się na trawie i przymknęła oczy.

Przyszedł paź czarnowłosy.

Zdawało się królownie, że tego dnia słońce zaszło Wcześniej, niż zwykle.

Nazajutrz królowna przyszła do ogrodu przed południem.

Położyła się na trawie i przymknęła oczy.

Przyszedł paź czarnowłosy. Płomienne usta pochylił do jej ust.

Naraz rozległ się straszny, przeraźliwy, rozpaczny ryk osła.

— Ratunku! Osieł się wściekł! — zawołała królowna.

I paź czarnowłosy go zabił.

* * *

Stary Zeus serdecznie się śmiał, gdy wyzwolona z osłej powłoki dusza złotowłosego pazia stanęła po raz wtóry przed jego oczyma.

— I czegożeś ty krzyczał? — zapytał.

— Władco, taki widok, taki widok, — jęczał paź, który jeszcze nie mógł ochłonąć z przerażenia i oburzenia. O, świętokradca, o zwierzę, wyzute ze wszelkich podnioslejszych uczuć!... Gdybym był człowiekiem, gdybym miał broń przy boku!...

A Zeus rzekł uroczyście:

— Gdybyś był człowiekiem, paziu, tobyś wiedział, że W takich razach nie należy krzyczeć. Ale to ci się chwali. Posłałem ciebie w osłej skórce na ziemię i spisałeś się, jak istny osieł. Więc też nagroda cię nie minie. Odejdź w spokoju.

PAN REDAKTOR.

Mam przyjaciela literata, z którym spotykam się w różnych kawiarniach i spędzam długie godziny na pouczającej rozmowie. Ponieważ cieszę się jego zaufaniem, więc chętnie zwierza mi się ze swoich planów i pomysłów literackich. Słucham go z ciekawością, ale Więcej jeszcze zaciekawia mnie kwestya, kiedy ten człowiek wszystko to napisze. Chyba, że rozpoczęta w tem życiu działalność, skończy w przyszłym, posługując się "pismem duchów".

Jak dotychczas dorobek literacki mego przyjaciela składa się: z recenzji teatralnej z ogródka, którą pisał, zastępując chorego recenzenta, dwóch felietoników, wiersza w humorystycznym piśmie i "garści aforyzmów" w pewnej jednodniówce. Mimo to, talent jego nie jest jeszcze w społeczeństwie uznany, ale temu się nie dziwię, gdyż, jak mi wytłómaczył, prawdziwy talent nigdy nie bywa uznany za życia, a bardzo rzadko po śmierci. Swoją drogą ma żal do społeczeństwa i zastanawia się czasem nad tem, czyby wszystkich następnych dzieł nie tworzyć po francusku lub po angielsku, które to języki, jak mnie zapewniał, posiadłby, "gdyby chciał", w bardzo krótkim czasie.

Ja odwodzę go, jak mogę, od tego zamiaru, bo jakżeż ma Polska taką siłę stracić. Ale jest rozgoryczony. Zawsze powtarza, że nigdzie na

świecie niema tak podłych stosunków literackich, jak w Warszawie; że tu wszyscy ludzie piszący są "durnie i analfabeci".

— Nic dziwnego — dodaje — ojcem talentu jest honorarium, a matką zaliczka.

To jego ulubiony aforyzm. I, na poparcie, cytuje mi normy honoraryów "od wiersza" we wszystkich pismach, jakie wychodzą na kuli ziemskiej, dodając, ile w

którem piśmie wiersz posiada liter. Umiał to na pamięć.

Rozmowy nasze zaczynają się zwykle jednakowo. Siadamy. Ja mówię: "Napijcie się czego?" On, z wyrazem znudzenia i niesmaku, kiwa potakująco głową. Po chwili twarz mu się rozjaśnia.

— Za tydzień będą pieniądze — mówi, zacierając ręce... — Robię kokosowy interes.

— No?

— Tss... Na razie tajemnica... Wam tylko o tem mówię. Pewna afera literacka...

Ale się urzniemy... Za tydzień to już ja będę Wam stawał...

I kreśli tak ponętne obrazy przyszłości, że żałuję doprawdy, że rok ma tylko pięćdziesiąt dwa tygodnie.

* * *

Zdarzyło się, że nie widział mego przyjaciela przez tydzień. Zaczęłam się niepokoić. A nuż go zaaresztowali?... Odwiedziłem go raz i drugi, ale nie zastałem w domu. Stróż mnie objaśnił, że nawet nie nocował.

Po tygodniu zjawił się w kawiarni, w której spotykaliśmy się zwykle. Był rozpromieniony.

— Cóż, udało się? — zapytałem.

— Udało — odparł z tryumfalnym uśmiechem

— To, o czym wspominaliście?

— Ach nie... Tamto zrobiło klapę. Ale

wyobraźcie sobie, przyjechał jeden mój kolega szkolny, szlagon ze wsi...

Okropnie bogaty. No i hulaliśmy... Słowo wam daję, że przez ten cały tydzień ani jednej nocy nie przespałem naprawdę.

Rzeczywiście znać było na nim zmęczenie. Opowiadał mi długo i szczegółowo, jak się ze swoim szlagonem bawił, w jakich restauracjach bywali, co gdzie jedli i pili i wyznał mi w końcu, że ten wystawny tryb życia bardzo mu się podoba i że nadal sam również takie już tylko życie będzie prowadził.

— Bo trzeba wam wiedzieć — dodał poważniej — że jestem teraz naprawdę na drodze do zrobienia pieniędzy.

— Winszuję.

— Tak, i to nawet dużych pieniędzy. Zakładam pismo.

— Pismo! — zawołałem ucieszony.

— Tak. Otóż to cała historia. Jakem hulał z tym moim szlagonem, zacząłem go namawiać, żeby się przeniósł do Warszawy i tu założył wielki dziennik. Cóż, majątek ziemski teraz nie interes — za rok, dwa, mogą wywłaszczać... Ale — on człowiek bez inicjatywy — jak prawie cała nasza szlachta, nie chciał się zgodzić. Tłómaczyłem, przekładałem — wszystko na nic.

— A cóż mówiliście, że się udało.

— Czekajcie. Na założenie pisma nie chciał się zgodzić, ale mi pożyczył sto rubli. Z tego na drobne wydatki rozeszło mi się pięćdziesiąt, ale pięćdziesiąt jeszcze mam nienaruszone.

— I z tem macie zamiar zakładać pismo?

— Cóż myślicie... Tak — dodał ironicznie, Widząc, że nie podzielam jego entuzjazmu. — U nas zawsze najpierw się czeka na miliony, a dopiero potem myśli o przedsiębiorstwie. Dlatego nic niema i bieda w kraju. Pięćdziesiąt rubli to jest pięć funtów szterlingów. Do czego toby się Anglik nie wziął, mając taki kapitał. I po paru latach zrobiłby miliardy, nie miliony, tylko miliardy... Rozumiecie?

Mówił tak przekonująco, że po pewnym czasie i mnie się udzielił jego zapał.

Uwierzyłem rzeczywiście, że ten człowiek może z niczego stworzyć coś. Co za spryt, co za bajeczne wydawnicze pomysły! No i odrazu zaczęliśmy nowy dziennik "oblewać". Koszty tej uczty, która przeciągnęła się do późna W noc, ja

poniosłem, bo mój przyjaciel nie mógł już swoich pięćdziesięciu rubli naruszyć. Ale za to przyrzekł mi protekcję i nawet znacznieszą pomoc pieniężną, ile bym tylko razy potrzebował.

* * *

Po tygodniu ukazał się wreszcie pierwszy numer nowego pisma. Z ciekawością wziąłem go do ręki. I spotkał mnie przykry zawód: w tem nowem piśmie nie było nic nowego, same prze-

druki z innych gazet i parę bez sensu skleconych artykułów, a to wszystko w dodatku na marnym papierze i tak niewyraźnie odbite, że połowy nie można było przeczytać.

Wieczorem, jak zwykle, spotkałem się z moim przyjacielem w kawiarni. Ale zaraz mnie z niej wyciągnął.

— Chodźcie, — rzekł — pójdziemy do jednej nowej knajpy. Teraz, jak jestem redaktorem, to mam kredyt. Zrewanżuję się wam za wasze przyjęcia.

Poszliśmy. Po drodze pragnąłem w delikatny sposób zwrócić przyjacielowi uwagę na braki w jego piśmie.

— Dlaczegoście sami nic do pierwszego numeru nie napisali?

Spojrzał na mnie z góry i wruszył ramionami.

— Ja? Także... Cóż wy myślicie, że będę swój talent po codziennych pismach rozpraszał?

— Wasze pióro ożywiłoby numer.

Mój przyjaciel roześmiał się wesoło.

— Jak to znać, że pan profan i że się pan nic na dziennikarstwie nie znasz! — zawołał. — (Czasami byliśmy na wy, czasami na panie, zazwyczaj w ten sposób dawał mi delikatnie odczuć, że palnąłem głupstwo). Niechżeż mi pan powie: na co się wydaje pismo?

Zastanowiłem się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Otóż na to, żeby mózdz od czasu do czasu puścić na miasto nadzwyczajny dodatek

— wyręczył mnie. — Teraz pan rozumie.

Nie chciałem się już przyznawać, że niezupełnie, więc zmieniłem temat rozmowy, a zresztą wchodziliśmy do baru, protegowanego przez mego przyjaciela.

Nazajutrz rano obudził mnie ze snu przeraźliwy krzyk na ulicy:

— Nadzwyczajny dodatek, oblężenie stanu wojennego w Warszawie!

— Okropne oblężenie Warszawy!

Darli się chłopcy w niebogłosy. I kto żyw kupował dodatek. Ja sam, również wiedziony gorączkową ciekawością, szybko ubrałem się i pobiegłem na dół.

I zimno mi się zrobiło, kiedym przeczytał. Była to zapowiedź rzeczy tak okropnych, że po przeczytaniu tego dodatku, najrozsądniej byłoby może odrazu się powiesić, byle tylko nie doczekać tego, co się stać miało. Wylękniony, zdenerwowany, zacząłem szukać po mieście mego przyjaciela, żeby się coś więcej jeszcze od niego dowiedzieć.

Ale los mi nie sprzyjał. Dopiero na drugi dzień w południe udało mi się go spotkać. Stał pochylony nad bufetem w barze, nie mogąc się widocznie zdecydować na wybór zakąski.

Kiedy mnie spostrzegł, roześmiał się wesoło.

— Doskonale, żeście przyszli... urządzimy sobie śniadanko.

Ten jego spokój i dobry humor w tak krytycznym dla społeczeństwa momencie zdziwił mnie nieco.

— Cóż to będzie? — zapytałem.

— Z czem?

— No, z tem, co pisał wasz wczorajszy dodatek... Przez całą noc oka zmrużyć nie mogłem.

Redaktor się uśmiechnął.

— Co ma być, już jest — odparł protekcyjnie i uderzył się ręką po kieszeni. — Trzydzieści rubli na czysto.

A potem, nachylając się ku mnie, dodał ciszej:

— Dobrze żeście przyszli, pogadamy. Wiem, że macie paru zamożnych znajomych. Otóż, czy który z nich nie kupiłby odemnie pisma... Zaproponujcie...

— Chcecie sprzedać?

— Zawiele mi czasu zajmuje... nie mogę zaniedbywać literatury. Niedrogo oddam, za kilkaset rubli. A pismo, puszczone w ruch — złoty interes, do końca życia można mieć spokojne utrzymanie. Wytlómaczcie to im, dobrze?

Przyrzekłem.

I zaczęliśmy "oblewać" sprzedaż.

DWA ŚWIATY.

Powróciwszy o zmierzchu z cytadeli do domu, Zawadzki zastał w przedpokoju, który w tych godzinach popołudniowych nazywał się poczekalnią, paru interesantów i rozmowa z nimi zajęła mu czas do wieczora. Tak był nieludzko zmęczony, że ledwie rozumiał to, co do niego mówiono i, odpowiadając po dziesięć razy z rzędu na jedno i te same naiwne i niepotrzebne pytania, siłą woli musiał panować nad ogarniającym go rozdrażnieniem. Kiedy wreszcie ostatni klient wyszedł, było już parę minut po wpół do dziesiątej. Zawadzki przeszedł do sąsiedniego pokoju i w ubraniu rzucił się na łóżko.

Tego wieczora właśnie miał być na balu. Inżynierostwo Stawińscy z okazji imienin, córki urządzali u siebie prywatną maskaradę w niewielkiem gronie krewnych i najbliższych znajomych. Projekt powstał jeszcze podczas świąt Bożego Narodzenia, a inicjatorem jego był nawet sam Zawadzki. Ale w tej chwili perspektywa całonocnej zabawy, a przede wszystkim przebierania się na ten bal w kostium wcale mu się nie uśmiechała. Poprzedniej nocy położył się o czwartej, nazajutrz o dziewiątej zrana miał już być na nogach, zmęczenie fizyczne przekraczało jego siły. W dodatku po paru dniach mrozów nastąpiła gwałtowna odwilż. Od rana padał deszcz, pomieszany z mokrym śniegiem, który topniał w po-

wietrze. To wilgotne niezdecydowane zimno było dokuczliwsze od największych mrozów i Zawadzki, jadąc kawał drogi z cytadeli do domu, tak przemarł w dorożce, że i teraz jeszcze czuł lekkie dreszcze.

— Zdaje mi się, że mi się na influencę zbiera — pomyślał, wyciągając się na łóżku.

Obiecał był przyjść do inżynierostwa na tę zabawę wcześniej trochę, zaraz po dziesiątej. Na dobrą więc sprawę należałoby zaraz zacząć się myć i ubierać. Ale nie miał siły. Owładnęła nim taka ociężałość, że leżał bezwładnie, z przymkniętymi oczami, nie mogąc się ruszyć.

Do pokoju wsunął się służący, osiemnastoletni chłopak z typową miną ulicznika warszawskiego..

— Pan śpi? — odezwał się półgłosem.

Zawadzki nic nie odpowiedział.

Jego lokaj podszedł bez ceremonii do łóżka.

— To już dziewiąta dochodzi... — dodał głośniejsze.

— Czego się drzesz? Pali się, czy co?... Za pół godziny mnie obudzisz... I żebyś mi się tu nie kręcił — krzyknął rozdrażnionym tonem i odwrócił się twarzą do ściany.

Miał zamiar rzeczywiście przespać się chwilę, sądząc, że to go najlepiej

uspokoi. Bo czuł dobrze, że przyczyną tego niesłuchanie podłego stanu ducha, w jakim się znajdował, było poprostu fizyczne zmęczenie. Nieraz zdarzało mu się nie dosypiać po parę nocy z rzędu i nadrabiał nerwami wyczerpane siły. Ale teraz nerwy właśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Ta sprawa w cytadeli tak go rozdrażniła... Bronił tego dnia młodego bandyty, którego sąd wojenny skazał na karę śmierci. Zawadzki z góry się tego spodziewał, ale, mimo to, i tym razem, jak zawsze, gdy przewodniczący sądu, wysoki, kościsty generał przeczytał urzędowym, obojętnym głosem formułę wyroku "na karę śmierci przez powieszenie", Zawadzki uczył nagle, że mu wszystka krew uderzyła do mózgu i zmrużył oczy, mimowoli pochylając głowę, jakby przed ciosem. I w tej samej chwili obudziło się w nim niepojęte, tkliwe, serdeczne uczucie dla tego młodego zbrodniarza. Przez mgnienie oka miał wrażenie, że to mu rodzony brata będą wieszali. Wnet potem oczywiście wydało mu się to przesadnym sentymentalizmem, bo już kto, jak kto, ale ten opryszek na niczyje współczucie nie zasługiwał. Mimo to, jego twarz bezmyślna, tępa, zrzadka obrośnięta strzępami jasnych włosów, wciąż majaczyła mu się przed oczami i nie mógł tej mary od siebie odpędzić. I teraz, gdy leżał po ciemku, napróżno starając się usnąć choć na chwilę, raz po raz zarysowywała mu się przed oczami sala posiedzeń sądu wojennego, oficerska sala balowa, z której, gdy rano przyjechał na sprawę, żołnierze kończyli wymiatać dopiero kolorowe krążki "confetti", resztki po jakiejś zabawie, która się do późna w noc przeciągnęła. Teraz tu kat ze stryczkiem będzie tańczył — przyszło mu na myśl, gdy to spostrzegł i jakby cień od tej myśli spadło mu na duszę przygnębiająco ciężkie poczucie głupich, groteskowych kontrastów, z których się wszystko dookoła składało. Oczy-

wście była to "literatura", nie mógł się jednak z pod jej wpływu otrząsnąć. Chcąc zapanować nad zdenerwowaniem, starał się myśleć wyrazami, ale i to mu się nie udawało. Zdania, które logicznie w mózgu układał, rwały się wciąż i z pośród słów wyłaniały się nieokreślone, a pełne goryczy uczucia i obrazy.

Do pokoju ponownie wszedł służący.

— Proszę pana, już jest pół godziny.

— Dobrze. Podaj mi wody do mycia.

Szybko zerwał się z łóżka i z gorączkowym pośpiechem począł się ubierać. Przedtem zlał się cały zimną wodą i to od razu go orzeźwiło i podnieciło. Uczuł głód. Nie miał więc już ani chwili czasu do stracenia. I ten pośpiech nerwowy dodał mu humoru. Właśnie — myślał — ubrać się i iść na bal, to jedyne, co ma sens. Gdybym chciał po każdym wisielcu odprawiać pokutę, to pierwszy powinienem był się powiesić. To, że znów nagle uczul się rzeźkim i wypoczętym, sprawiało mu zadowolenie.

— Nerwy odzyskały sprężystość i już po awanturze — mruknął półgłosem, przysuwając lampę do lustra, aby się lepiej przejrzeć.

— Wałek, która to tam godzina?

— Już pięć minut po dziesiątej — odparł mu służący z drugiego pokoju.

— Dawaj kostyum. Za pięć minut muszę wyjść.

— A ja budziłem pana.

— Dobrze, dobrze... Śpiesz się teraz.

Zawadzki wybierał się na bal we francuskim kostymie z czasów dyrektoryatu. Było mu bar-

dzo w tym stroju do twarzy i gdy po chwili, przebrawszy się zupełnie, przejrzał się w lustrze od stóp do głowy, ogarnęła go pusta balowa uciecha. Spojrzał na służącego, który stał koło lustra z lampą w ręce.

— No cóż, dobrze?

— Wygląda pan, jak z teatru.

W tym kostymie z innej epoki Zawadzki poczuł się nagle innym człowiekiem. W jednej chwili zapomniał o wszystkim, co nękało mu duszę. Chciał się teraz tylko bawić bez troski i podobać pięknej inżynierównie. Wszyscy uważali go już właściwie za narzeczonego panny Stawińskiej. On sam nie wiedział jeszcze dobrze. Ale gdy był przy niej, snuło mu się po duszy jakieś uczucie nieokreślone, a rozkoszne, jak zapach kwiatów.

— Zdaje mi się, że dobrze — powtórzył po chwili, raz jeszcze przejrzawszy się starannie w lustrze. Panna Stawińska miała się również przebrać w kostym z epoki dyrektoryatu, mieli tworzyć parę... Uśmiechnął się wesoło. I jeszcze, jakby ostatnie echo poprzednich rozgoryczeń, zbudziła się w nim refleksja:

— Człowiek tak myśli, jak jest ubrany.

A jeśli mu co jeszcze psuło trochę humor, to tylko to, że przemarnował godzinę w domu, zamiast pójść na miasto co zjeść. Teraz nie było już czasu, a przedewszystkiem nie mógł się w maskaradowym kostymie pokazywać w restauracji.

— Podaj mi palto — zwrócił się do służącego.

W przedpokoju rozległ się nagle odgłos dzwonka. Krótki i przyciszony. Ktoś dzwonił do drzwi bardzo nieśmiało.

— Kogóż tam dyabli teraz niosą! — zaklął Zawadzki. — Powiedz, że mnie niema w domu.

Służący wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Minęła dość długa chwila. Adwokat począł się niecierpliwić. Wreszcie Wałek ukazał się z powrotem w progu.

— To ta baba — odezwał się przyciszonym głosem.

— Jaka baba?

— A, co pan dzisiaj jej syna bronił... Mówiłem, że pana niema — dodał, — ale ona skamle i stoi na schodach. Będzie pan musiał wyjść przez kuchnię.

Zawadzki spojrział na lokaja ze zdziwieniem, jakby nie rozumiejąc dokładnie treści jego słów.

— Jakto, to ona? — odezwał się po chwili zmienionym, bezbarwnym głosem.

— Będzie pan musiał wyjść przez kuchnię.

Zawadzki nic nie odpowiedział. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. I w tej ciszy, jaka zapanowała w pokoju było coś tak niewytlómaczenie groźnego, że aż Walka przejęła zabobonna trwoga.

— Proszę pana — odezwał się niespokojnie

— Przecież ja jej się tak nie mogę pokazać — odparł Zawadzki szeptem i takim tonem, jakgdyby prosił służącego o przebaczenie mu jakiegos winy.

— To też niech pan zejdzie kuchennymi schodami.

Zawadzki smutno się uśmiechnął.

Uciekać, wymykać się kuchennymi schodami przed matką, gdy tamtego chłopaka, którego on bronił, mieli za kilkanaście godzin powiesić... To przypuszczenie wydało mu się tak nieludzko potworne, że sama myśl napełniła go przerażeniem.

— Może ona jeszcze nic nie wie — wyszeptał patrząc osłupiałym wzrokiem na Walka.

— A to?...

Służący nie dokończył pytania.

— Ja jej mówiłem, żeby jutro przyszła — mruknął po chwili.

— Mówiłem — powtórzył przeciągle Zawadzki. Mignęła mu przed oczami wizja tej starowiny, która wlokła się po deszczu gdzieś na krańce miasta, na Wolę, bo pan mecenas nie chciał jej przyjąć, a nie chciał, gdyż się przebrał w głupi, błazeński strój, żeby pójść na maskaradę i bawić się, bo był zakochany.

Wyprostował się szybko.

— Wprowadź ją do pokoju... Jeśli już zeszła, zbiegnij do bramy... A mnie daj futro i czapkę... i przyćmij trochę lampę w kancelaryi.

Służący wyszedł i zaraz powrócił.

— Jest, stała pod drzwiami.

Zawadzki włożył futro, podniósł kołnierz, czapkę nasunął na czoło, nie znać tak było, że jest w maskaradowym przebraniu. I, odzyskując mechanicznie spokój, wyszedł do kancelaryi.

W rogu pod drzwiami stała niewielka, zgarbiona babina. Z pod chustki, naciągniętej na głowę nie widać jej było prawie wcale twarzy. Gdy

Zawadzki wszedł do pokoju, skłoniła mu się nisko i wybuchnęła krótkim, urywanym płaczem.

Ten płacz zmieszał go.

— Mówiłem pani... już onegdaj — odezwał się cichym, nieśmiałym głosem.

Babina zachłysnęła się jeszcze parę razy łzami. Potem, ocierając ręką oczy, dodała już spokojniej:

— Ja o jedno tylko chciałam jeszcze wielmożnego pana mecenasa prosić... On miał takie nowiuteńkie buty, akurat na dzień przedtem kupił, jak go wzięli... Żeby to jako od żandarmów wydostać... bo jemu biedakowi to już tam w grobie niepotrzebne.

NAD RANEM.

Była godzina druga W nocy. Dziewczęta rozeszły się do swoich pokojów i w salonie została tylko Mańka, która usnęła na kanapie. Obok niej, w starym, wytartym fotelu, drzemała gospodyni, szczupła żydówka z orlim nosem i dużymi oczami, w czerwonej, włóczkowej chustce na głowie.

W salonie było zimno. Węgłe w żelaznym piecyku wygasły i powietrze, rozgrzane przed chwilą aż do upału, szybko stygło. Mańka przez sen wtulała się w kąt kanapy, chłód ją budził, ale była już tak zmęczona, że nie miała siły wstać i przejść na dół do swego pokoju.

Okolo lampy, zawieszanej pośrodku sufitu, snuły się niebieskawe, ciężkie smugi dymu. Podłoga była zarzucona niedopałkami papierosów i skórkami od pomarańcz. Na stole, z którego zwieszała się na pół ściągnięta serweta, stało kilka pustych butelek po piwie. W całej kamienicy uciszyło się już wszystko i przez zasłonięte okna najłżejszy szmer nie dolatywał. Nagle z automatu, który stał przy jednej ze ścian, rozległ się głuchy, urywany szczełk. Na ten głos poruszyła się czarna kobieca suknia, rzucona niedbale na kufer, i wysunął się z pod niej szary kot z iskrzącymi ślepiami. Otrząsnął się, nasrożył, ogon zadarł do góry i, wyciągając powoli łapy, zeskoczył na podłogę. Wówczas Mańka obudziła się ze snu...

Ale zaraz przymknęła oczy i spała dalej. Śniły jej się bardzo dziwne rzeczy.

Więc najprzód, że leżała w szpitalu, a obok niej na drugim łóżku Paola, Niemka z Białej, która zwaryowała w jesieni zeszłego roku i potem umarła. Mańka grała z nią w karty i rozmawiały o Paryżu. Pewien pan, którego Paola nazywała inżynierem i o którym mówiła, że jest bardzo bogaty, opowiadał jej, że w Paryżu dziewczęta i to takie zwykłe, jak one, zarabiają po ośm tysięcy franków rocznie i powozami jeżdżą. Mańka nie chciała jej wierzyć i zaczęły się kłócić.

Później Paola gdzieś znikła. Mańka została sama i leżała na łóżku, wpatrując się w okna, przez które płynęło na pokój dziwne mleczne światło. Okna były do połowy zasłonięte białymi firankami i tylko przez górne szyby widać było kawałek wypłowiałego nieba. I wydało się Mańce, że już leży tak od niepamiętnych czasów, lata całe, i łyzy zakreśliły się jej w oczach. Ale w tej samej chwili wszedł na salę dawny jej znajomy, porucznik z czarnymi wąsami. Roześmiała się do niego radośnie, wdzięczna za to, że przyszedł, gdy nagle spostrzegła z przerażeniem, że nie miał oczów, tylko dwie puste jamy, jak trupia głowa, którą widywała u pewnego medyka. Mróz ją przeszedł i głosu z gardła wydobyć nie mogła. A

porucznik zbliżył się do jej łóżka i zaczął się rozbierać. Zdjął szablę, powiesił obok łóżka na haku. Potem zdjął mundur. Potem odjął sobie jedną rękę i położył na krześle, potem głowę, którą ostrożnie ustawił na oknie, potem drugą rękę, obie nogi, aż wreszcie zostały w powietrzu tylko

piersi, błyszczące, ślizkie, porosłe długimi, czarnymi włosami. Piersi te, podobne do jakiegoś Wielkiego gadu, poczęły się ku Mańce nachylać. Wyciągnęła przed siebie ręce, aby je odepchnąć i przeraźliwie krzyknęła.
— Mańka, Mańka, czego ty wrzeszczysz? — rozległ się nad nią piskliwy głos gospodyni. — Idź spać, dziś już nikt pewno nie przyjdzie.
— Dobrze, zaraz — mruknęła Mańka, przewróciła się na drugi bok i spała dalej.

* * *

Było już parę minut po trzeciej. Gdzieś daleko w pustej ulicy zaturkotała dorożka. Mańka usłyszała ją przez sen, zacisnęła oczy a głowę wtuliła mocniej w kąt kanapy, jakgdyby chcąc się skryć przed tym hałasem, który ją ze snu mógł zbudzić.

Ale ten hałas rósł wciąż. Najoczywiściej dorożka zbliżała się w stronę ich domu. Wreszcie szyby w oknach poczęły drżeć i dzwonić. Dorożka zatrzymała się przed bramą.

— Dwukonka, — pomyślała Mańka.

I spała dalej.

W podwórzu rozległo się ostre skrzypienie zardzewiałego drutu i stary, rozbity dzwonek zabrzączał kilka razy jękliwie.

Wtedy Mańka otworzyła szeroko oczy. Twarz jej przybrała dziwny wyraz. Był to lęk śmiertelnie znużonego zwierzęcia, któremu spać nie dają.

— Wstawaj Mańka, — mruczała gospodyni, krzątając się po pokoju.

Ale ona nie wstawiała. Ogarnęła ją wściekła złość na tych wszystkich pijaków, którzy się włóczą po nocach. Nie ona jedna tu jest. Niech sobie inne dziewczęta pobudzą... Porządni goście nie przychodzą nad ranem...

Oni szli już. Słychać było na schodach zmęczone kroki Wielu mężczyzn i głośnie śmiechy. Z trzaskiem otwarli drzwi i weszli do pokoju. Za nimi, jak cień wsunęła się Franka, rozspana i rozczochna, w białym niedbale zarzuconym na plecy kaftaniku. Usiadła zaraz jednemu z gości na kolana, objęła go rękami za szyję i zaczęła prosić zakatarzonym głosem:

— Każ kotku dać piwa...

Mańka otworzyła napowrót oczy. Widziała wszystko z trudem, jak przez mgłę, chciałoby jej się spać, ale ciekawość przemogła jej zmęczenie. Patrzyła. Goście siedzieli na krzesłach dokoła stołu. Znać było, że i oni są już strasznie zmęczeni. Umilkli i w pokoju znowu było cicho. Po chwili odezwała się Franka:

— Dlaczego wy tak późno przyszli, facety? Czy wy pili?

Nikt jej nie odpowiedział. Jeden z mężczyzn wstał nagle, roześmiał się i rzekł:

— Trzeba obejrzyć tę na kanapie.

I chwiejnym krokiem zbliżył się do Mańki.

W niej wówczas starły się dwa przeciwne uczucia — nadziei zarobku i strasznego zmęczenia. Ale tak już była zmęczona, że się nawet pieniędzy wyrzekła.

Przymknęła oczy i odwróciła głowę. Gość usiadł obok niej na kanapie. Czuć było silnie od niego alkohol.

— Zbudź no się, księżniczko — zawołał, pociągając Mańkę za rękaw.

Udawiała, że śpi.

— No, któż to słyszał spać, kiedy tylu ładnych chłopców przyszło! Wstawaj

dziewico, pobawimy się trochę.

Nachylił się i zaczął jej rozpinać stanik na piersiach.

— Idź pan — zawołała Mańka, wrywając mu się z rąk.

— Hi, hi, hi — zapiszczał, — Co za temperament! Kocham cię margrabino; podbiłaś moje serce!

I znowu pochylił się nad nią.

— Idź pan — wrzasnęła przeraźliwie Mańka, zrywając się z kanapy. — Ładni mi goście, psiakrew, co po nocach się włóczą i tylko dziewczętom spać nie dają, a żaden centa przy duszy nie ma — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

— Daj jej spokój, Edek, ma wrzeszczeć, niech śpi lepiej — odezwał się jeden z mężczyzn, siedzących przy stole.

Ale Edek był pijany i opór dziewczyny doprowadził go do pasy. Poczzerwieniał, chwycił ją silnie za obie ręce i, popychając przed siebie, syczał zdyszonym głosem:

— Pijany, kto pijany, ty się grzeczności naucz, rozumiesz?

Mańka już na wpół z płaczem usiłowała mu się wyrwać.

Siedzący przy stole popowstawali i zbliżyli się do nich.

— Nie róbże-ż awantury, z tobą wiecznie jedno i to samo — zaczęli uspadając Edka.

— Puść ją pan, co pan ma za prawo do niej — krzyczała Franka, ujmując się za towarzyszką.

W pokoju zrobiło się gwarno. Na progu ukazały się dwie rozespane dziewczyny. Zbudził je hałas i, nie ubierając się, w koszulach przybiegły zobaczyć; co się tu stało. W ślad za nimi wróciła i gospodyni, która w chwilę po przyjściu gości zeszła na dół.

— No, co to tu jest? — zapytała podniesionym głosem.

— A to ten pijak awantury robi — odparła z płaczem Mańka. — Idź, idź, bo cię zwołam.

I, spełniając w tej chwili groźbę, obsypała pijanego gościa gradem najstraszniejszych przekleństw.

On pobladł wtedy, zagryśł usta i, nagle puszczać ręce dziewczyny, uderzył ją w twarz.

Wszyscy zaczęli naraz krzyczeć w niebogłosy.

* * *

Trwało to ze dwadzieścia minut. Istny sądny dzień... Potem powoli wrzawa zaczęła się oddalać, przez kilka chwil dolatywał jeszcze z podwórza gwar podniesionych męskich głosów, aż wreszcie wszystko ucichło.

Dziewczęta próbowały pocieszać Mańkę.

Widząc jednak, że się dziewczyna zacięła i że trudno z nią dojść do ładu, porozchodziły się do swoich pokojów. W salonie znowu została tylko gospodyni i Mańka, która, leżąc na kanapie, zanosila się od płaczu.

Gospodyni miała dobre serce. Żal jej się zrobiło tej pokrzywdzonej dziewczyny, usiadła koło niej i zaczęła ją pocieszać.

— Nie płacz, Mańka, wielka rzecz, trochę poboli i przestanie.

Ale Mańka rozplakała się na to jeszcze -głośniej.

— Jakie on ma prawo mnie bić, ten pijak! — powtarzała zduszonym od łez głosem. — Jakie on ma prawo!...

Gospodyni umilkła. Przez kilka chwil siedziała nieruchomo, uporczywie wpatrując się w Mańkę. Nagle jakieś dziwne blaski zamigotały w jej zmęczonych oczach.

Pochyliła się i, obejmując dziewczynę za szyję, szepnęła tkliwym, serdecznym głosem, jakiego nikt nigdy od niej nie słyszał:

— Nie płacz, Mańka, on tobie...

Zawahała się chwilę.

— On tobie dziesięć reńskich zostawił — dokończyła nagle szybko. — Ja ci dam, dam ci wszystko, ja już nawet sobie nic nie wezmę, za to, że taki wstyd miałam.

Mańka przestała płakać.

— To niechże pani gospodyni da — szepnęła, przecierając rękami oczy. Schowała prędko pieniądze w pończochę i znowu zaczęła się skarżyć płaczliwym głosem:

— Widzicie go... Łobuz jeden... Przychodzi Po nocy, awantury robi, pijany, i jeszcze dziewczęta bić będzie, taki...

Zaklęła w straszliwy sposób.

— To ty nie bądź głupia — tłumaczyła jej

gospodyni. — Uderzył cię, no to i uderzył... Wielka rzecz, każdy pijany awantury robi, od tego się upija, a za to dał ci całe dziesięć reńskich, to tak, jakbyś pięciu dobrych gości miała.

Mańka uśmiechnęła się lekko, zaraz jednak jej twarz zasepiła się znowu.

— Żeby to jeszcze jaki znajomy — mruknęła — ale taki łobuz, co pierwszy raz przyszedł. I będzie dziewczęta na honorze obrażał.

— Może on teraz zacznie przychodzić do ciebie — pocieszała ją gospodyni — pieniądze musi mieć, dał tak odrazu...

Mańka nic na to nie odpowiedziała.

Nie płakała już. Wstała z kanapy i zbliżyła się do lustra.

Wówczas gospodyni, widząc, że się dziewczyna uspokoiła, zaczęła trochę żałować swego wzruszenia. Miała zamiar te dziesięć reńskich, którymi się gość wykupił, zachować dla siebie i tak jej się to jakoś z ust wyrwało.

— I co ona z tymi pieniędzmi zrobi? — myślała, spoglądając niechętnie na Mańkę. Machnęła ręką i wyszła z salonu.

Mańka została sama. Zbliżyła się do okna i podniosła roletę. Na dworze robiło się już szaro. Mańka patrzyła przed siebie na wielki, pusty plac, na którym połyskiwały wśród błota kałuże deszczowej wody, uśmiechała się i marzyła. Słowa gospodyni zapadły jej głęboko w serce. Wyobrażała sobie, że ten gość zacznie już do niej stale przychodzić, że ją zacznie kochać. Snuły się przed nią rozkoszne obrazy przyszłego szczęścia. Zamieszkają razem, on weźmie ją do siebie,

ma przecież pieniądze, dał dziesięć reńskich... I za co, za to, że ją tam raz uderzył, albo by to inny chciał zapłacić. Szlachcic — myślała z rosnącym zadowoleniem. Najsamprzód zacznie do niej przychodzić coraz częściej i częściej, później będzie o nią zazdrosny, weźmie ją — albo to niemożliwe? Ten Gustek, który we France się kocha, także ją najsamprzód pobije... Niechby i bił, byle kochał naprawdę, westchnęło coś w jej sercu.

Powoli ogarnęło ją zmęczenie. Zeszła na dół do swego pokoju, rozebrała się i położyła do łóżka. Przez cały czas myślała o nim, marzyła, jak to będą mieszkali razem, jaki on będzie dla niej dobry, jak ją będzie kochał strasznie, szalenie, nad życie. I musiało to jej się przyśnić jeszcze potem, bo, śpiąc, uśmiechała się słodko, jak dziecko.

KAIR.

Rano w pokoju pełno słońca. Przez zielone okiennice wkrada się światło i stroi ściany w blaski, podobne do kwiatów. Z ulicy płyną przytłumione odgłosy, jakiś przeciągły, niewyraźny gwar, który przypomina brzęczenie pszczół w ogrodach. Nie można leżeć. Czarny jak smoła Nubijczyk odsłonił okno i pokój tonie nagle w powodzi złotych promieni.

Jest wpół do ósmej. Powietrze czyste, świeże, na koronach palm szkli się słońce. Ruch na ulicach jeszcze niewielki. O tej porze europejskie miasto budzi się

dopiero do życia. Spotyka się wykwintne amazonki i jeźdźców na wspaniałych wierzchowcach; przed kawiarniami mali chłopcy W długich kolorowych koszulach myją stoliki.

Ale dość już tego europejskiego Kairu z jego operowemi dekoracyami. Wystarczy skręcić w którąkolwiek z bocznych ulic, ująć kilkadziesiąt kroków, aby się znaleźć w zupełnie innym mieście. To Kair arabski, jedna z najoryginalniejszych, najciekawszych stolic na świecie.

Wąskie ulice i zaułki płaczą się tu, jak korytarze w labiryncie, wszystkie pełne słońca, pełne zgiełku i kolorowych ludzi, wszystkie niesłychanie malownicze i nie do opisania brudne. Używając kwiecistych, wschodnich porównań, większość z nich możnaby nazwać: "wąwozami złej woni".

Oddychać trudno, ale jest patrzeć na co.

Życie arabskie wre tu w całej pełni. Od rana do nocy ludzie, osły i wielbłądy starają się przekrzywić nawzajem. Raz po raz wpada w uszy przeciągły śpiew, więcej do płaczu, niż do śpiewu zbliżony. To przekupnie uliczni zachwalają W ten sposób swoje towary.

Arabowie łączą w usposobieniu dwa dziwne przeciwieństwa. O ile zaczęną się ruszać i mówić, możnaby przypuszczać, że to najkrzykliwsza nacya na świecie. Ale niech który zamilknie, a w tej chwili zmienia się w posąg. I pół dnia może tak przestać, czy przesiedzieć nieruchomo, z oczami utkwionemi w jednym punkcie, ani razu nie zmieniając pozycji. Trzeba dodać, że ta pozycja prawie zawsze jest piękna. Jak wszystkie rasy południowe, wyrosłe na powietrzu i słońcu, posiadają oni to bezwiedne poczucie pozy, które sprawia, że każdy ich ruch jest pełen wdzięku i niewymuszonej wytworności. Moznaby bez przesady powiedzieć, że wszyscy mają w sobie pewną dyskretną pańskość, po której odrazu, na pierwszy rzut oka, poznaje się, że to potomkowie dawnej rasy królewskiej.

Wogóle są to ludzie piękni. Spotyka się mężczyzn, którzy tak wyglądają, jak posągi greckie. I, co ważniejsza, i odrazu też zwraca uwagę to, że niemal każda twarz jest pełna wyrazu, w Europie o to trudniej. Nawet we Włoszech można przez cały dzień chodzić po mieście i nie zobaczyć człowieka, którego fizyczna uroda pobudziłaby myśl do jakiejś fantazyi. Tu, przeciwnie, co krok napotyka się "typy". I, patrząc na nie możnaby przysięgać, że ten jest rozbójnikiem,

tamten uczonym, myślicielem, poetą, świętym i chciałoby się odrazu otwierać im duszę i rozkoszować tymi dyamentami uczuć, jakie się na ich dnie kryją. Oczywiście, jest to złudzenie, nawet wielkie, ale urok Kairu przedewszystkiem na złudzeniach polega.

Co też jeszcze u Arabów uderza, to ich oczy. Przeważnie miewają prześliczne oczy. I dopiero wśród nich można naprawdę zrozumieć, co to jest dziki, wolny wzrok. Ale też jakby przez zemstę złego ducha brzydoty, nigdzie może na całym świecie nie widzi się tylu ludzi z popsutemi oczami i ślepych, co tutaj. Winien temu klimat, straszny, gryzący kurz, a przedewszystkiem sami mieszkańcy Egiptu, którzy wody używają, zdaje się, najchętniej tylko do ablucyi przed modlitwami. Tacy są Arabowie na zewnątrz. Dusze ich mniej ciekawe. W każdym razie daleko im do królewskości. Są fałszywi, przewrotni, kłamać umieją bez zająknienia, oszukiwać bez skrupułu. Dawna genialna fantazyja rasy, która tworzyła cuda poezyi i architektury, dziś ujawnia się jeszcze w niesłychanej pomysłowości do wyzysku. Stosunek ich do przyjezdnych Europejczyków jest bardzo prosty:

— Przyjechaliście, żeby nas oglądać; oglądajcie, skoro was to bawi, ale płąćcie. I na każdym kroku starają się wyzyskiwać niemilościernie. Pogląd taki wyłącza, oczywiście, wszelką nienawiść plemienną, czy religijną. Europejczyk czuje się tu również bezpiecznie, a może nawet jeszcze bezpieczniej, niż u siebie w domu. Przywozi pieniądze, więc nienawidzić go byłoby

niepraktycznie, a Arabowie są praktyczni. W zabawny sposób zapewniają przytem o swej bezinteresowności.

— Nie chcę pieniędzy. Pańskie zadowolenie, monsieur prince, będzie dla mnie najwyższą nagrodą.

Zdanie to słyszy się mniej więcej zawsze przy zawieraniu umowy z przewodnikami. Ale też nie można przywiązywać do niego najmniejszego znaczenia. Są to tylko wschodnie piękne słowa, które tu po dziś dzień cieszą się powodzeniem. Kupcy kairscy nad drzwiami swych kramów, zamiast szyldów, umieszczają wersety z Koranu.

* * *

Na ruchliwych uliczkach tłok taki, że trzeba sobie drogę łokciami torować. Kiedy to już zmęczy, ucieka się na którykolwiek z bocznych zaułków. Gwar się powoli oddala, słabnie i wreszcie milknie zupełnie. Dookoła słoneczna senność i cisza. I znowu to wrażenie, że się jest w innym mieście. Przed oczyma wązka, próżna uliczka, zamknięta u wylotu rozłożystym sykomorem. Przez gałęzie sączy się światło i rozsypuje po ziemi, jak liście z blasków. Jakiś stary, ślepy żebrak siedzi pod bramą domu, skulony, z jedną ręką nieruchomo wyciągniętą przed siebie, w pozycji, którąby tylko w śnie kataleptycznym przypuścić można. Trudno uwierzyć, że to żywy człowiek. Te białe, szklane oczy, brązowa twarz, okolona

kępkami siwych, rozstrzępionych włosów, te ręce i nogi wyschłe, jak szczapy, raczej kazałyby sądzić, że to ktoś ubrał mumię w kolorowe lachmany i posadził pod ścianą. Ale on żyje...

Po obu stronach uliczki wznoszą się wysokie domy, oplecione zamkniętymi balkonami z desek. Balkony te nie mają okien, światło płynie do ich wnętrza przez szczeliny, wycinane w najfantastyczniejsze koronkowe desenie. I łatwo sobie wyobrazić, jaki rozkoszny półmrok to tworzy. Wśród barwnego kwiecica dywanów nagle, migotliwe promienie unoszą się w powietrzu, jak roje złocistych motyli. I jak tu słodko czas na marzeniach schodzi, jak tu beczynność nie nudzi! Arabowie mogli tylko wpaść na ten prosty a genialny pomysł, który odejmuje słońcu całą jego brutalność i zmienia ziejącego ogniem potwora w pieszczotliwą kochankę. Arabowie, którzy są mistrzami beczynności, a sztuka to niełatwa i nauczyć jej może tylko słońce. U nas ludzie muszą coś robić, muszą się czemś zajmować, bo beczynność jest śmiertelnym grzechem i mści się na człowieku, jak choroba; na Wschodzie jest ona cnotą. Rodzi się z niej marzenie, kolorowe, jak to tło, na które patrzą wciąż oczy. I w niej, w tem zdaniu duszy na wolę słonecznych promieni, możnaby się dopatrzeć źródła przepotężnej fantazyi wschodniej, która z jednakową delikatnością umiała rzeźbić słowa i kamienie. "Bajki z tysiąca i jednej nocy" mają w sobie tyle barw, ile ich gra na niebie przed wieczorem, a ornamentykę arabską tworzyło słońce, przeciskające się przez

liście drzew na trawniki, czy przez szczeliny do namiotów.

I beczynność owa stworzyła jeszcze jedną sztukę, u nas nieznaną wcale — sztukę rozkoszy zmysłowej. Podpatrywać ją można każdej chwili na drobnostkach. Właśnie po drodze się trafia niewielka kawiarnia arabska. Przy stolikach siedzi kilku ludzi, palących nargile. I odrazu rozumie się całą różnicę, jaka istnieje między paleniem tytoniu u nas, a na Wschodzie. Europejczyk pali, żeby się podniecić i wyzyskać następnie to podniecenie w jakimkolwiek innym celu; jest to tylko sposób rozdrażnienia, czy poskromienia nerwów. Dla Araba palenie samo w sobie jest aktem fizycznej rozkoszy. Niczego innego od tytoniu nie pragnie, prócz tego nieuchwytnego odurzenia, w jakie go dym wprawia. I poświęca na to kilka godzin czasu. Patrząc, jak się zaciąga z nawpół przymkniętymi oczami, jak lubieżnie niemal dotyka wargami bursztynowego końca fajki — widzi się odrazu, że ten

człowiek każdym nerwem swoim odczuwa rozkosz palenia. I te błękitnawe obłoki dymu, które się snują dokoła jego głowy — naprawdę zasłaniają mu świat.
... Za sykmorem u wylotu ulicy obraz nagle się zmienia. Jakiś plac pełen ruin, okrytych białym, oślepiającym kurzem. Tu i owdzie, jakby na straży tej pustki, stoją samotne palmy. Wiatru niema. Długie, połyskliwe liście drzew wiszą bez ruchu w powietrzu. Nad niemi latają orły.
W każdym zakątku, w każdej najmniejszej szczelinie pełno słońca. I zdaje się, że to od

żaru jego promieni domy rozsypały się w proch. Ta pustka i ta cisza ma w sobie coś z zagłady śmierci. Tak muszą wyglądać miasta, przez które dzuma przeszła. Naraz w oddali ludzka postać. Jak cień przesuwająca się przez ulicę arabską dziewczyna w długiej czarnej sukni z dzbankiem na głowie. Niknie za węglem rozwalonego muru i znowu ani żywej duszy dokoła.
Ale wizja przemija szybko. Płoszą ją obrazy rzeczywistości. Po samym środku drogi, na wyschłym śmietniku, leży padlina zdechłego osła. Potem z jakiejś nawpół rozwalonej glinianej lepianki wysypuje się gromada żebrzących dzieciaków:
— Bakszisz! bakszisz!...
Pośród tych ruin gnieździ się kairska nędza. Najstraszniejsza, jaką sobie wyobrazić można. Ludzie i psy bezdomne żyją tu w braterskiej zgodzie, na łasce Opatrzności. A o kilkadziesiąt kroków dalej znowu wielka ulica, pełna życia, hałasu, zgiełku.

SERB.

Był ciepły, wiosenny wieczór. Wacek Michniewicz nie zapalał lampy i po ciemku siedział w swoim pokoju. Po południu chodził dużo po mieście i wiosenne powietrze obudziło w nim szereg nieokreślonych tęsknot, które się potem przemieniły w dręczącą nudę. Przez otwarte okno widział kawałek nieba, przypatrywał się pierwszym migotliwym gwiazdom i, czując w duszy potrzebę szału, rozpamiętywał bezdenną nicotę istnienia człowieka, który pragnieniem sławy musi zarabiać na życie.
Z przykrego tego stanu obudziło go gwałtowne pukanie do drzwi.
— Proszę — zawołał obojętnie, nie odwracając głowy.
Do pokoju wpadł bardzo szybko malarz Obojski.
— Cóż ty tak po ciemku siedzisz? — zapytał, zatrzymując się ze zdziwieniem.
— Tak... nie chce mi się światła zapalać — odparł melancholijnie Kazio.
— Hm, zły znak — mruknął Obojski.
I umilkł, jakgdyby straciwszy nagle fantazję, z jaką wpadł do pokoju.
— Nigdzie cię nie widać, myślałem, żeś gdzie wyjechał — odezwał się Michniewicz, zapalając lampę dla uwydatnienia swej gościnności.

Właściwie wcale tego nie myślał. Wiedział doskonale, dlaczego Obojski przestał się udzielać przyjaciołom i znajomym. Od miesiąca był zakochany w pięknej Geni Pałaszyńskiej i to uczucie tak go pochłaniało, że już na nic innego nie miał czasu.
Ale Michniewicz postanowił być dyskretnym. Udawał, że nic nie wie, bo znał z widzenia Genię Pałaszyńską i bardzo mu się podobała. Widywał ją często na wyścigach, w "Nowościach", w Alejach i zawsze przyglądał jej się uporczywie. Piękna kokota jednak nie zwracała na te spojrzenia uwagi. Było mu zatem trochę przykro, że Obojski zna ją osobiście.
— Słuchaj — odezwał się nagle Obojski, chwytając go nerwowo za guzik od marynarki — masz pieniądze?

— Nie mam — odparł lakonicznie Michniewicz.
— Psiakrew — zaklął malarz. — Coś musisz, mieć przecież?
— Pół rubla.
Miał dwa ruble przeszło; ze względu jednak na zażyłe stosunki, jakie go z malarzem łączyły, wolał się nie przyznawać do całej sumy.
— Pół rubla... za mało, za mało — jęczał złamanym głosem Michniewicz.
— Na cóż ci tak gwałtownie potrzeba?...
— Odwożę Genię Pałaszyńska do domu — nie mam czym dryndy zapłacić... nie mogę przecież pozwolić, żeby ona płaciła... Tak jestem wyjątkowo goły, jak nigdy... Zatrzymałem dorożkę przed bramą, przeprosiłem ją, że mam do ciebie

nadzwyczaj ważny interes i wpadłem na górę. A psiakrew, co za podłe życie — biadał, kręcąc się gorączkowo po pokoju.
Tragizm sytuacji wzruszył Michniewicza. Lecz wstyd mu było przyznać się teraz do posiadania pieniędzy.
— Ja mam jeszcze rubla — zaczął niezdecydowanym głosem — ale to nie mój. Zaraz tu facet przyjdzie...
Obojski rzucił się ku niemu, jak tygrys.
— Zmiłuj się, daj... zrozumiem, nie mogę przecież Wszystkich znajomych objeżdzać i kazać jej wszędzie czekać przed bramą. Albo wiesz co, chodź, przedstawię cię, pojedziemy razem do niej na herbatę, a ty dorożkarza zapłacisz.
— Doskonale — odparł Michniewicz, chwytając za kapelusz.
W złotych humorach zbiegli obaj po schodach.
— Ja już dawno chciałem cię z nią poznać — mówił przyjacielowi Obojski — tylko się tak jakoś nie składało. Pojęcia nie masz, jaka to bajeczna kobieta... O wszystkim można z nią mówić, wszystko wie, wszystko czytała, a jak ona sztukę odczuwa... Ma doskonały stary koniak, zobaczysz, że się zabawimy, jak nigdy. Przed bramą w eleganckiej dwukonnej dorożce siedziała tęga, przystojna blondyna. Obojski Podbiegł ku niej rozpromieniony.
— Panno Geniu — zawołał, całując ją po Przyjacielsku w rękę. — Niech mi pani wybaczy, że tak długo siedziałem na górze. Mój przyjaciel, literat Michniewicz — przedstawił towarzysza.

Panna Genia z dystynkcyą skłoniła
Dorożka ruszyła.
— Pozwoliłem sobie w pani imieniu zaprosić go na herbatę — ciągnął ozywiony Obojski. — Urządzimy sobie artystyczną pogadankę.
— Pan również artysta? — spytała panna Genia, cedząc powoli wyrazy. W ten sposób mówiła zawsze, ilekroć chciała zaznaczyć staranne wy. chowanie.
— Poeta — odparł za przyjaciela Obojski.
— Jak to dobrze — zachwyciła się piękna "precieuse", — Ja ogromnie lubię poezję. Musi nam pan jakiś wiersz zadeklamować.
Michniewicz przyrzekł.
Pannę Genię owiewał subtelny zapach drogich perfum. Zapach ten dziwnie drażnił zmysły. Przytem Michniewicz kolaniem swoim dotykał jej kolan i przez lekką suknię wyczuwał rozkoszne ciepło młodego, jędrnego ciała.
W jednej chwili zapomniał o melancholii, zniechęceniu i wszystkim, co go nękało.
Zamienili jeszcze parę słów i dorożka zatrzymała się przed bramą wysokiej, secesyjnej kamienicy.
— Chodźcie na górę, dam wam kawy i koniaku — zawołała Genia, wyskakując zręcznie na chodnik. Uważała już Michniewicza za dobrego znajomego i nie czuła się zobowiązana do dystynkcyi.
Wesoło rozmawiając, weszli na schody.
Na drugim piętrze panna Genia zadzwoniła raz, drugi — nikt nie otwierał.

— Oho, Helcia znowu pewno flirtuje z lokajem od doktora — odezwał się Obojski tonem bywalca, wtajemniczonego we wszystkie sekrety domowe. — Służąca panny Geni jest zakochana po uszy... — objaśniał Michniewicza.

Ale w tej chwili za drzwiami rozległ się brzęk ostróg i po chwili otworzył je młody, przystojny ułan.

Widząc pannę Genię w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn, cofnął się o krok w ryl z wyrazem przykrego zdziwienia w oczach. Obojski i Michniewicz, zmieszani trochę, również się cofnęli.

Tylko panna Genia wybuchnęła wesołym śmiechem:

— Kola! — zawołała, Witając serdecznie ulana. — Byłam najpewniejsza, że dziś nie przyjdiesz... Chodźcież panowie — zwróciła się do literata i malarza. — Pan Michniewicz, pan Obojski, moi znajomi artyści — przedstawiła ich oficerowi. Ułan uklonił się z wyszukaną grzecznością.

— Panowie byli tak łaskawi, że mię odprowadzili do domu i zaprosiłam ich na herbatę — ciągnęła Genia, jakgdyby usprawiedliwiając się przed wojskowym z obecności przyjaciół.

Michniewicz odczuł to w tonie jej głosu i zły był na siebie, że przyszedł.

Obojski nadrabiał miną, ale także stracił, fantazję.

Panna Genia od miesiąca kochała się w nim na śmierć i życie, ale malarz zadawała tylko jej, sercowe potrzeby. Poza tem miała jeszcze bardzo

wiele innych potrzeb, może mniej wzniosłych lecz równie niezbędnych i troska o nie należała do młodego przedstawiciela armii.

Był to młody, zdrowy chłopiec o bardzo jasnych włosach i bardzo czerwonej twarzy. Szczelnie opięty mundur uwydatniał herkulesowe kształty. Był zresztą bardzo przyjacielski i bardzo dobrze wychowany. Czując się gospodarzem w mieszkaniu panny Geni, gościnnie zapraszał obu przyjaciół do salonu.

Weszli. Panna Genia, przeprosiwszy mężczyzn, że się musi przebrać, znikła za drzwiami sypialni. Wróciła po chwili, ubrana w prześliczny japoński szlafrok, w którym wyglądała jeszcze piękniej i ponętniej, niż w spacerowym kostymie.

— O czym panowie rozmawiali? — zwróciła się do Obojskiego.

Trudno było na to pytanie odpowiedzieć, bo : przez cały czas jej nieobecności w salonie panowało kłopotliwe milczenie. Stosunki towarzyskie trzech panów ograniczyły się do uśmiechów, ukłonów, wzajemnego częstowania papierosami i ustawicznych sporów o to, kto ma pierwszy papierosa zapalić. Rozmowa się nie kleiła. Próbował ją nawiązać ułan. Zauważył łamaną polszczyzną, że jest piękny dzień. Michniewicz i Obojski z głębokim przeświadczeniem przyznali mu słuszność i na tem się skończyło.

Genia zaczęła mówić za wszystkich.

Z głośnym śmiechem opowiadała jakiś zabawny epizod z wyścigów.

Mężczyźni, słuchając jej, śmieli się również, ale nieszczercze. I nastrój, panujący w salonie, sta-

się coraz bardziej fałszywy i sztywny. Ułan czekał niecierpliwie, żeby Michniewicz i Obojski wyszli; oni obaj, straciwszy wszelką nadzieję miłego spędzenia wieczoru, starali się tylko odsiedzieć pewien czas dla zachowania pozorów Wizyty. Zwłaszcza Michniewicz był zdenerwowany. Oczami wciąż dawał znaki Obojskiemu.

Malarz wstał wreszcie.

Zaczęli się żegnać.

— Niech też panowie nie zapominają o mnie — prosiła Genia, ściskając ich serdecznie za ręce.

W przedpokoju szeptała coś jeszcze po cichu z Obojskim.

Obaj w milczeniu zeszli ze schodów.

Obojski przez zaciśnięte zęby gwizdał jakiegoś walca. Michniewicz, strasznie zły, układał w myśli zjadliwy frazes, żeby nim malarzowi dokuczyć.

— To ona żyje stale z tym ułanem? — zaczął po chwili milczenia.

— Tak — odparł krótko Obojski.

I, zdając sobie nagle sprawę z głupiej i przykrew sytuacji, w jakiej wobec przyjaciela postawiła go ta wizyta, zwrócił się szybko ku niemu:

— Ale... to Serb.

KARYERA.

Czując się niezwykle zdenerwowanym, postanowiłem zasięgnąć porady lekarskiej. Poszedłem do jednego, drugiego, trzeciego znajomego doktora. Każdemu opowiadałem swoje cierpienia. Każdy mnie słuchał, kiwał głową, trzy ruble brał (znajomy!) i w końcu każdy powtarzał jedno i to samo:

— Spokoju, bezwzględnie spokoju. Unikać wszelkich wzruszeń, wszelkich wstrząśnień, prowadzić możliwie najregularniejsze życie.

Kiedy mi to pierwszy powiedział — zniosłem, drugiemu roześmiałem się impertynencko w twarz, trzeciemu powiedziałem głupstwo, a do czwartego nie chodziłem już wcale, bojąc się, że mu naprawdę mogę nawymyślać.

Bo, czy to nie złośliwe kpiny? Czasy coraz cięższe, na każdym kroku można być postrzelonym, doszło do tego, że wyjście z domu do fryzjera, czy do cukierni na czarną kawę, jest już karygodnym lekceważeniem życia, a tu mi zalecają bezwzględny spokój i unikanie wzruszeń. Dobrze, daj mi stałą rentę, żebym mógł wyjechać zagranicę, to będę wiódł spokojny żywot.

Wracałem do domu wściekły, gdy nagle na skrawku ulicy spotkałem mego dawnego lokaja. Wypędziłem go za złodziejstwo. Patrę — on, czy nie on. Ta sama łotrowska gęba, ale co za sztyk! Świeżuteńki garnitur, najwidoczniej od pierwszo-

rzednego krawca, przy kamizelce gruby, złoty łańcuch — słowem zamożność aż bije od niego.

I on mnie poznał i ukłonił mi się po przyjacielsku.

— Cóż to, Antoni spadek dostał?

— I, ktoby mi tam co zapisywał? A u pana co słyhać? — zapytał pośpiesznie, jakby chcąc uniknąć dalszej indagacji z mej strony.

A ja, że to jedną myślą miałem całą głowę nabitą, więc, nie zwracając na to uwagi z kim mówię, począłem się przed nim jak przed przyjacielem zwierzać ze swoich trosk i wymyślać na doktorów.

— Niech mi dadzą rentę — zawołałem głośno na zakończenie — to będę miał spokój.

Mój ex-lokaj uśmiechnął się tajemniczo.

— Na co panu właściwie renta?

— Jakto na co, żeby wyjechać.

— A po co pan chce wyjeżdżać?-

— Żeby mieć spokój.

— Spokój, spokój... Ja uważam, że na całej kuli ziemskiej niema miejsca, gdzieby tak spokojnie i wesoło można było żyć, jak w Warszawie.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, przybierając jaknajgłupszy wyraz twarzy.

— Czy Antoni oszalał?

— Wcale nie, tylko, oczywiście, nie trzeba być burżujem.

I, klepiąc mnie poufale po ramieniu, dodał:

— Niech tam, po starej znajomości, powiem Panu. Chcesz pan żyć spokojnie, dostatnio i wesoło, zapisz się pan do naszej partyi. Do komunistów. Raj na ziemi, a robota żadna. Wyjdzie

pan rano na przechadzkę, wstąpi pan tu do sklepu — tam do biura, po drodze zawadzi pan o monopol. Kilkadziesiąt rubli w kieszeni pewne. Dawniej — ciągnął, zapalając się coraz bardziej — potrzeba było przed przystąpieniem do interesu kilkanaście rubli na rewolwer wyłożyć. Ale teraz i to niepotrzebne. Ludzie się tak już nastraszyli, że kawałek blaszanej rurki wystarczy. Jedyne zajęcie, powiadam panu. W naszych czasach komunista, byle tylko systematycznie na robotę wychodził, może jak nic kilka tysięcy rubli miesięcznie zarobić.

— I kulę dostać — Wtrąciłem.

— Od kogo? Chyba od siebie samego, jak się nie umie z browningiem obchodzić. Stójkowy na pomoc nie przyjdzie, bo stójkowy się nas boi, a publiczność także nie przyjdzie, bo publiczność boi się stójkowego; zresztą, czy pan nie czytuje gazet? Kule z zasady trafiają w tych, dla których nie są przeznaczone. Najbezpieczniej jest dziś być w Warszawie tym, kogo mają postrzelić, bo takiego to już kula naprawdę ominie.

Argumentacja jego oburzała mię, ale i zaczynała zaciekawiać. Łotr spostrzegł to i roześmiał się wesoło:

— Widzę, że panu trafił do przekonania. Niech się pan decyduje, na to nawet odwagi nie potrzeba. Zobaczysz pan po tygodniu, jaki pan będzie wesół i zdrow i jak pan pokocha Warszawę. A widoki coraz lepsze... kto wie, może dostaniemy subwencję, a wtedy urządzimy pogrom.

Nagle zamyślał się:

— No, dowidzenia — wykrzyknął, ściskając

mię za rękę. — Ja tu sobie wstąpię do fryzjera. Każę się ogolić i przy sposobności zabiorę kasę. To, ma się rozumieć, drobnostka... na kieszonkowe wydatki. A panu radzę nie zwlekać, tylko od jutra do roboty.

I znikł za narożnikiem ulicy.

Wstyd mi się przyznać, ale... ale, wróciwszy do domu, zacząłem ze starej fuzyjki mego ośmioletniego Kazia konstruować browning... taki na pokaz... Ale i ten wystarczy.

OPOWIADANIE MEGO PRZYJACIELA.

Jeden z moich przyjaciół, który od dłuższego czasu cierpi na silny rozstrój nerwowy, opowiadał mi dziwną historię, jaka naprawdę tylko w chorym mózgu mogła się wylęgnać.

— Pewnej nocy, — zaczął — wszystkim ludziom na całym obszarze świata śniła się wiosna. Już to raziło nielogicznością, bo przecież każdy uczeń wstępnej klasy wie dobrze, że kiedy u nas jest noc, to w Ameryce dzień.

Chciałem mu zwrócić uwagę, ale po chwilowym namyśle dałem spokój. Czyż warto z waryatami się sprzeczać?

A on ciągnął przyciszonym głosem:

— Wszystkim ludziom na całym obszarze świata śniła się wiosna i zdawało im się, że czują zapach kwiatów, piękniejszych od róż i fijołków. Nazajutrz, kiedy obudziło ich słońce, opowiadali sobie nawzajem swoje sny i dziwili się, że mieli tak jednakowe widzenia. Wielu ogarnęła nawet z tego powodu zabobonna trwoga, ale skoro minął dzień jeden, drugi i trzeci i nic się w ich życiu nie zmieniło, wszyscy zapomnieli o swoich snach.

A to tej nocy właśnie Chrystus zeszedł po raz drugi na ziemię.

Przyszedł, aby po raz drugi umrzeć męczeńską śmiercią na krzyżu i odkupić winy ludzkości, gnijącej w nędzy i plugawych grzechach. Bo pierwsza Jego śmierć nie wystarczyła, i świat tonął w coraz większym upodleniu. Więc On chciał spełnić ofiarę powtórnie.

I zaczął szukać uczniów.

Lecz długo musiał wędrować, nim ich znalazł. Dopiero po kilku latach udało mu się zebrać dwunastu wyznawców, którzy uwierzyli w niego całym sercem i gotowi byli do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi walczyć o każde Jego słowo.

Niestety jednak, nie wszyscy mogli z Nim wędrować po świecie, bo dwóch najgorliwszych siedziało w więzieniu za długi, a dwóch znajdowało się pod dozorem policyjnym i nie wolno im było opuszczać miejsca urodzenia.

Miał więc tylko ośmiu uczniów przy sobie.

Chodzili razem od wsi do wsi, od miasta do miasta, głosząc miłość powszechną. Czasami brano ich za wędrownych aktorów, ludzie śmieli się serdecznie i chwalili ich za dowcip. Czasami gorzej obchodzono się z nimi, ale wogóle nie zachowywano się względem nich wrogo.

— A niechaj głoszą miłość, cóż nam to może szkodzić? — mówili poważni ojcowie rodzin.

Aż przyszli do pewnego wielkiego miasta.

Tam uznano ich za niebezpiecznych. Siepa-

cze okuli ich w kajdany i poprowadzili przed oblicze Heroda, który tem miastem władał.

W pierwszej chwili słowa wymówić nie mogli. Wstręt, jaki ogarnia wszelkie dusze szlachetne na widok nikczemnych przestępstw, był tak wielki, że odjął im mowę. Dopiero lekkie tupnięcie Herodowej stopy i ciche "prędzej", które wysunęło się z jego ust powoli, niby żądło zmiji — wróciło im przytomność.

Drżąc z przerażenia, opowiedzieli, co się stało.

— Przez dziewiętnaście wieków był spokój zakończył zbolełym głosem opowiadanie swe setnik, — aż oto On znowu powraca na ziemię. Kazałem już krzyż naszykować, abyśmy jutro, skoro świt, mogli wymierzyć sprawiedliwość.

Lecz Herod nie podzielał gniewnego zapału swej wiernej, a gorliwej straży.

Słuchając oskarżenia, uśmiechał się dobrotliwie i kiwał głową niby ojciec, który patrzy na psoty swych dzieci.

— Niepotrzebnieście mnie budzili — rzekł tonem lekkiego wyrzutu. — Nie gniewam się — dodał szybko, widząc przerażenie strażników — wiem, że czyn wasz nieopatrzny zrodził się ze szlachetnych zamiarów i gorliwość wasza nie będzie wam zapomniana. Ale... Ukrzyżować!?!... To było dobre kiedyś, kiedyś, dla barbarzyńców, lecz nie dla nas. My mamy po za sobą dziewiętnaście wieków kultury, wydarliśmy wiedzy nieomal wszystkie tajemnice, przejrzelśmy nawskroś naturę ludzką. I my mielibyśmy się obawiać naszych proroków? Puśćcie tego człowieka na wolność!

I wypuszczono go...

Tak niby miała się zakończyć druga ziemska wędrówka Chrystusa. Dla ścisłości muszę dodać, że ów mój przyjaciel, który mi całą tę bajkę opowiadał, obecnie jest już zamknięty w domu zdrowia.

PRAWDZIWA BAJKA O KOPCIUSZKU.

Były trzy siostry: najstarsza, młodsza i najmłodsza. Dwie starsze matka kochała bardzo, pieściła je i kupowała im ładne sukienki z niedrogich materiałów.

Najmłodszej nie kochała wcale. Może dlatego, że ta najmłodsza była córką jej męża. W rodzinie' wszystko jest możliwe.

Dwie starsze córki żyły sobie wesoło na świecie, chodziły z matką do teatrów, na bale, na rauty, na koncerty i znały wielu przystojnych młodzieńców, w których towarzystwie często się musiały czerwienić. A biedny Kopciuszek (wszak domyśliliście się już, że tu o Kopciuszku mowa) spełniał przez ten czas

najcięższe domowe posługi, zamiatał kuchnie, mył talerze, ścierał kurze i w dodatku nigdy dobrego słowa od nikogo nie usłyszał.

Tak to bywa na świecie, że jednym szydła gołą, a inny najostrzejszą brzytwą angielską się skaleczy.

Pewnego razu przyjechał do Warszawy bogaty królewicz, który miał dwie cukrownie na Wołyniu, a był młody i przystojny. W sam raz na męża dla panny, która temperamentem może to nadrobić, czego jej w papierach wartościowych braknie. Wydawano dla niego wielki bal i na bal

ten wybierała się matka z dwiema starszemi córkami. Od samego świtu był w domu rwetes i urwanie głowy. Nie zawsze miłość macierzyńska w tkliwych słowach się wypowiada, więc matka brzydko wymyślała córkom; siostry kłóciły się pomiędzy sobą, że to jedna zabrała drugiej gorset, a to róż, a to bielidło i ostatecznie za wszystko pokutować musiał Kopciuszek.

A ona biedactwo jeszcze nigdy w życiu nie była na balu. Ach, bal, bal! muzyka, światło, zgrabni panowie, strojne panie i upajający walc w silnych objęciach męskich, aż do zawrotu głowy.

Dla niej to wszystko było tylko marzeniem długich, bezsennych nocy, snem tak czarodziejskim, że nawet nie wierzyła, aby się mógł ziścić kiedy...

Ze łzami w modrych oczach kręciła się po mieszkaniu, chwytając urywkowo rozmowę starszych sióstr o królewiczu.

— Jaki on piękny!

— A jaki silny!

— Ma dwieście tysięcy rocznego dochodu.

— Mógłby się mocować w cyrku.

To wszystko podsycalo jeszcze jej tęsknotę. Natura tak mądrze urządziła świat, że człowiek biedny może ile mu się podoba, marzyć o bogactwie, głodny o jedzeniu, a nieszczęśliwy o szczęściu. Więc i Kopciuszek marzył, marzył, że oto jedzie na ten bal, że jasny królewicz staje przed nią olśniony, zaprasza ją do mazura, do kontredansa, do wszystkich wirowych tańców, aż po sali szmer zdziwienia idzie i wreszcie o błękitnem świtaniu przy mdlejących tonach ostatniego

Walca, silnie przycisnąwszy ją do łona, powiada:

— Czy chcesz być moją?

A potem, pochyliwszy usta do jej ust przez kilka chwil oddycha ostrym zapachem eliksiru benedyktyńskiego, czyli, jak się wyrażają poeci, pije rozkosz i słodycz najwyższą na ziemi. Ponieważ bal dużo kosztuje, więc tego dnia nie było w domu obiadu. Jak wiadomo ze statystyki społecznej, głód dodaje ludziom odwagi. Więc nagle Kopciuszek upadł przed matką na kolana i, całując jej wyprawowe fil d'ecossy, zawołał z rozpaczą w głosie.

— Mamo, weź mnie na ten bal ze sobą... niech i ja jasnego królewicza zobaczę, niechaj raz w życiu wytańczę się i wyflirtuję...

Ale matka i siostry wybuchnęły tylko szyderczym śmiechem:

— Kopciuszek chce iść na bal.

— Nie, to paradne!

— Może w tych brudnych łachmanach?

— To nietylko próżniak, ale jeszcze głupie i beczelne w dodatku — zawyrokowała wreszcie matka, zamknęła Kopciuszkę w kuchni i, ochłonawszy po niemiłej scenie, pojechała z córkami wynajętą kareta na bal.

A kopciuszek zanosił się od płaczu, wił się po podłodze, bił głową o ścianę i gdyby miał ług pod ręką, kto wie, co by się stało.

Nagle ktoś cicho zapukał do drzwi kuchni.

Kopciuszek otworzył. W sieni stała pani Figowa, lokatorka, zajmująca w tej samej kamienicy cztery pokoje na drugim piętrze, osoba już

niemłoda, ale ze śladami ognistej piękności na twarzy, doświadczona i dobra.

Słyszając z sieni płacz Kopciuszka, przyszła ją pocieszyć:

Popatrzyła, pokiwała głową...

— Dlaczego panienka tak płacze? — odezwała się dobrotliwym tonem. — Taka młoda, ładna panienka nie powinna nigdy płakać. Powinna mieć dużo brylantów, ładne sukienki i codzień się wesoło bawić i jeździć w Aleje na spacer. Czy Pan Bóg na to daje ludziom urodę, żeby się przepracować i przepłakać?...

Pokrzepiony temi słowami Kopciuszek, opowiedział spokojniej pani Figowej wszystkie swoje zgrzyoty. A gdy wspomniał o jasnym królewiczu z Wołynia, znów mu łzy jak groch duże popłynęły z modrych oczu.

Ale pani Figowa za to uśmiechnęła się wesoło:

— Abgemacht! — zawołała, klaszcząc W dłonie. — Obetrzyj Kopciuszku oczęta. Ja tego królewicza dobrze znam i zapoznam cię z nim jutro. Trzeba się tylko trochę na to przyodziać, ale to już ja sama pomyślę o wszystkim. I nazajutrz Kopciuszek był już pięknie ubrany, a W dwa dni potem poznał królewicza. I cóż powiecie? Królewicz tak się w niej zakochał odrazu, że jedną całą cukrownię poświęcił na osłodzenie jej smutnego życia. Dziś Kopciuszek jest wielką panią, ma prześliczne mieszkanie z łazienką, jeździ codziennie prawie własnym powozem na spacer i, co najważniejsze, nie wstydzi się swoich sióstr.

Bo one obie powychodziły zamaż za biednych urzędników, żyją w niedostatku i nie wiedzą nawet, co to jest pedicure. Pewno nie słyszały nawet, że takie słowo istnieje. Kopciuszek wspomaga siostry, daje im swe znoszone sukienki, za chłopca jednej opłaca wpis i można bez przesady powiedzieć, że one ją kosztują do kilkuset rubli rocznie, ale Kopciuszek nie wymawia im tego, przeciwnie, na Nowy Rok i na każde uroczyste święto odwiedza obie, bo kobieta nigdy nie powinna się wstydzić ucziwego otoczenia, z jakiego wyszła.

Tak to życie plecie się czasami jak bajka. I wbrew wszystkiemu, co mogą powiedzieć cynicy i pesymiści, jest jakaś siła wyższa, która czuwa nad marzeniami ludzkimi i potrafi zamieniać łzy na brylanty.

TALIZMAN.

Pewnej nocy rodzicom, którzy czuwali nad kołyską śmiertelnie chorego dziecka, ukazał się zły duch i rzekł:

— Syn wasz wyzdrowieje, ale będzie umysłowo pracował na życie.

Są sytuacje, w których niewiadomo, jak się zachować. W takiej właśnie znaleźli się ci biedni ludzie. Z jednej strony radość, że dziecko im wyzdrowieje — z drugiej rozpacz nad psim losem, jaki mu życie zgotować miało. W rodzinie był już jeden literat.

Zły duch znikł i nie można go było nawet prosić o zmiłowanie. W pokoju została tylko po nim niemła woń siarki.

Odtąd zaczęły się smutne dni.

Ojciec i matka zanosili każdego ranka i wieczoru modły do wszystkich złych i dobrych dachów, odbywali pielgrzymki do cudownych miejsc, ale nic to nie pomagało. Dopiero w jakiś rok potem jedna sąsiadka poradziła matce udać się do starej wróżki, która mieszkała na polance w lesie i znała wszelkie czary.

— Jeśli ona nie pomoże, nikt nie pomoże.

Dokąd-żeby zrozpaczona matka nie poszła, gdy od tego miało zależeć całe szczęście jej jedynaka!... Posiadała w kasie pocztowej trochę zaoszczędzonych pieniędzy — wyjęła je z west-

chnieniem i udała się tramwajem za miasto, a stamtąd piechotą na polankę w lesie.

Szła długo, dzień był upalny i już dobrze miało się ku zachodowi, gdy ujrzała wreszcie chatkę na kurzej łapce, przed którą dwa czarne koty leżały na straży. Serce zaczęło jej silnie bić w piersiach i z wielką nieśmiałością zbliżyła się do drzwi.

Wróżka była to stara kobieta o niemiłym wyrazie twarzy. Podobna zresztą w ogólnych zarysach do czarownicy z drugiego aktu "Jasia i Małgosi".

Wysłuchawszy żalów zrozpaczonej matki, pokiwała smutnie głową. Potem zeszła na chwilę do piwnicy i wnet wróciła, niosąc ze sobą niewielki flakonik, napełniony różowym płynem.

— Niech to pani da dziecku — rzekła i powtórzy trzy razy nad niem, gdy wypije: "Brzydki ten ptak, co własne gniazdo kala". Wówczas wszystko odmieni się na dobre.

Uszczęśliwiona matka nie wiedziała, jak ma wróżce dziękować. Upadła przed nią na kolana i całowała ją po rękach. I po pewnej walce wewnętrznej dopiero ośmieliła się zapytać, co jest we flaconie.

— Jest w nim — odrzekła uroczystym głosem czarownica, podnosząc kościstą dłoń w górę — zgęszczony ekstrakt głupoty ludzkiej. Kto go wypije, ten już na całe życie pozostanie głupim? głupim jak but, jak kamień, beznadziejnie, tryumfalnie głupim... A ponieważ wasz syn ma pracować umysłowo, więc to jedno może mu zapewnić powodzenie, majątek i spokój na starość... Bo pi-

sarz wówczas zyskuje miłość swych współbraci, gdy potrafi poruszyć najdroższe struny ich serc, a cóż jest człowiekowi miłsze nad jego głupotę?

Uszczęśliwiona matka wróciła do domu.

Wszystko to zakrawa na bajkę... I sam nigdybym temu nie wierzył. Ale dziś właśnie byłem na uroczystości jubileuszowej znakomitego pisarza. Była to piękna, podniosła uroczystość. Wszyscyśmy się całowali i płakali, czcząc zasługi tego, który przez kilkadziesiąt lat stał wytrwale na stanowisku, jak żołnierz pod bronią i gdy ktokolwiek coś mądrego ośmielił się przed nim powiedzieć... ach nie, nie powiedzieć, ale szepnąć — zamykał mu usta marmurowem "Brzydki ten ptak, co swe gniazdo kala".

I przekonaliśmy się z czasem, że nikt tak nie umiłował kraju i wszystkich jego tradycji, jak ów mąż właśnie — owo oplakiwane niegdyś przez rodziców nad kolebką dziecko.

Piękna była uroczystość, wzruszająca serdecznie.

Do tej chwili mam łzy w oczach.

SZCZĘŚLIWY I NIESZCZĘŚLIWY.

Pewien młodzieniec oświadczył się o rękę panny i został przez rodziców jej, z zachowaniem wszelkich form towarzyskich, wyrzucony za drzwi. "La nuit porte conseil", powiedział sobie na drugi dzień rano i powiesił się na mocnym sznurku. A panna wyszła za mąż za innego, który, przeżywszy z nią szczęśliwie lat trzydzieści, również umarł.

Dusze obu rywali spotkały się na tamtym świecie, i Szczęśliwy podszedł z wyciągniętą dłonią ku Nieszczęśliwemu.

— Zapomnijmy dawnych uraz! — zawołał. — Czuję, że cię skrzywdziłem, bo ją naprawdę kochałem, ale i ja ją kochałem, a ona mnie wybrała. Nie jestem temu winien.

Nieszczęśliwy uśmiechnął się ironicznie.

— Zawracanie głowy, kochany przyjacielu — odparł, podając mu dłoń. — Mogę ci rękę uściskać i żyć nadal z tobą w zgodzie, ale nie opowiadaj mi, żeś mię skrzywdził. Czemuż jest czterdziestoletnie nawet szczęście małżeńskie, w porównaniu z temi miliardami lat, które musimy przeżywać, jako wdowcy. Świeżość

umarł i jeszcze nie wiesz, na czym polega wieczny kąt widzenia.

— Brawura — pomyślał Szczęśliwy, niezadowolony, że jego szlachetne porywy dawny przeciwnik tak zlekceważył.

Ale żyli ze sobą w zgodzie, oczekując sądu ostatecznego.

I wreszcie dzień ten nadszedł.

Wszyscy grzesznicy zgromadzili się W miejscowości, nazwanej zdawna doliną Józefata i przy operowej trochę dekoracyi piorunów i błyskawic, wyszedł na scenę Archanioł.

Szczęśliwy, który stał w pierwszym szeregu zebranych dusz, rzucił się skwapliwie ku niemu i na kolanach zaczął spowiedź swoich grzechów.

— Przemennie ten człowiek targnął się na swoje życie.

Archanioł spokojnie wysłuchał jego łkań, a potem odparł miękkiem głosem:

— Jeżeli myślisz, że ja na to jestem Archaniołem, żebym sobie zaprzętał głowę takimi głupstwami, jak wasze ziemskie sprawy, to się grubo, mój panie, mylisz.

Nie obawiaj się zresztą kary, bo ci powiem, że i zasłużonych nie będę nagradzał.

Dość. Poraz pierwszy, drugi i trzeci oznajmiam koniec świata.

Poczem nagle zrobiło się ciemno i wszyscy znikli. Szczęśliwy i Nieszczęśliwy, ma się rozumieć, również. A szkoda, bo wówczas dopiero mogliby zacząć naprawdę żyć w zgodzie i prze-

konać się ostatecznie, że szczęściu małżeńskiemu wcale nie stoi na przeszkodzie: czy się kto powiesi przed ślubem, czy po ślubie. Ludzie niestety, do najmądrzejszych wniosków dochodzą wówczas, kiedy ich niema.

KONIEC.